This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

+ *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.

+ *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.

+ *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.

+ *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at `http://books.google.com/`

Google

Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana byla na bibliotecznych pólkach, zanim zostala troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdążyly już wygasnąć i książka stala się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasly. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszlości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródlo cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając dlugą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczyci się wspólpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materialów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią wlasność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszlych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materialy, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
  Google Book Search to usluga przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
  Prosimy o niewysylanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tlumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materialów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
  Źnak wodny"Google w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ulatwiania znajdowania dodatkowych materialów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
  W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka zostala uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzielo to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiejkolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby staly się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ulatwia czytelnikom znajdowanie książek z calego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Caly tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem `http://books.google.com/`

DK
651
W2W5
v.1

Biblioteka Dzieł Wyborowych

wychodzi co tydzień

w objętości jednego tomu.

Warunki prenumeraty.

W WARSZAWIE:	Z PRZES. POCZT.:
Rocznie (52 tomy) rb. 10	Rocznie (52 tomy) rb. 12
Półrocz. (26 tom.) „ 5	Półrocz. (26 tom.) „ 6
Kwartal. (13 tom.) „ 2 k. 50	Kwartal. (13 tom.) „ 3
Za odnoszenie do domu 15 kop. kwart.	

Cena każdego tomu 25 kop., w oprawie 40 kop.

Dopłata za oprawę:

Rocznie . (za 52 tomy) . . rb. 6 kop. —
Półrocznie (za 26 tomów) . . rb. 3 kop. —
Kwartalnie (za 13 tomów) . . rb. 1 kop. 50
Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca się 20 kop.

REDAKTOR: **ZDZISŁAW DĘBICKI.**

WYDAWCA: **KAZIMIERA GADOMSKA.**

Redakcya i Administracya Warszawa, Warecka 14.—Telefonu 88, we Lwowie, Plac Maryacki l. 4.

DRUK. EDWARD NICZ i S-ka, NOWY-ŚWIAT 70.

N86

№ 473.

Biblioteka Dzieł Wyborowych.

Paulina z L. Wilkońska.

MOJE WSPOMNIENIA

o życiu towarzyskiem w Warszawie.

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

CZĘŚĆ I.

Cena 40 kop.

W prenum. 30½ kop.

WARSZAWA

Redakcya i Administracya Warecka 14.

1907

76 ROK ISTNIENIA.

Gazeta Polska

Wychodzi pod kierunkiem **R. Dmowskiego,**

Od Nowego Roku została **znacznie powiększona,** przy jednoczesnem wprowadzeniu ulepszeń wewnętrznych.

„Gazeta Polska" stawia sobie za cel stać się możliwie pełnym wyrazem polityki narodowej, życia polskiego i myśli polskiej we wszystkich dziedzinach.

W dziale literatury dawać będzie utwory pierwszorzędnej wartości.

„Gazecie Polskiej" przyrzekli najnowsze utwory swego pióra:

Henryk Sienkiewicz,

Jan Kasprowicz, Wł. St. Reymont

i wielu innych.

Wiadomości dotyczące **handlu zbożem i produktami rolnymi,** będzie podawało „Gazecie Polskiej" **„Biuro Kooperacyi Rolnej".**

Pomimo zmian i ulepszeń, cena GAZETY POLSKIEJ pozostaje **bez zmiany**

a mianowicie:

		Roczn.	półr.	kwart.	mies.	
w Warszawie	rb.	9.60	4.80	2.40	0.80	Zmiana
Z przes. poczt.	„	12.—	6.—	3.—	—	adresu
Za granicą	„	18.—	9.—	4.50	—	20 kop.

Adres Redakcyi: Boduena 5. Adres Administr.: Warecka 14.

STANFORD UNIVERSITY
LIBRARIES

Paulina z Ł. Wilkońska.

MOJE WSPOMNIENIA

o życiu towarzyskiem w Warszawie

z przedmową

Zdzisława Dębickiego.

CZĘŚĆ I.

WARSZAWA
DRUKARNIA ED. NICZ i S-ka, NOWY-SWIAT 70-
1907.

DK651
W2W5
v.1

PRZEDMOWA

Paulina z Lauczów Wilkońska, żona jednego ze znakomitszych humorystów polskich, niezapomnianego „Au, Wi., chirurga filozofii i krzyża naturalnego kawalera", autora „Ramot i ramotek", do dnia dzisiejszego chętnie jeszcze czytywanych, nie posiadała wybitniejszego talentu, ale, pełna dobrych chęci, obdarzona przytem ogromną łatwością pióra, pisała dużo. Nadto pisała w epoce niebardzo jeszcze wybrednej, więc chociaż z dzisiejszego punktu widzenia „śmiertelnie nudna i oklepana", jak mówi o niej prof. hr. Tarnowski, miała ona jednak w swoim czasie powodzenie, a nawet uznanie ówczesnej krytyki, która podnosiła bardzo jej wzniosłość, uczuciowość i szlachetne dążności. K. Wł. Wójcicki cenił w niej nadewszystko „wysoką myśl moralną" i nazywał jej utwory „nauczającą czytelnią dla młodych Polek". Nie przeszkodziło to jednak, że wszystkie one utonęły w morzu niepamięci i rzecz bardzo wątpliwa, czy kiedykolwiek jeszcze zostaną

ztamtąd wydobyte, chyba, że świat raz jeszcze wróci do epoki słodko-ckliwego sentymentalizmu, którego spóźnioną epigonką była w naszej literaturze Wilkońska.

Długi jest szereg jej powieści, niegdyś rozchwytywanych, obecnie, zaledwie że przez sumienniejszych historyków piśmiennictwa branych do ręki. Należą tu przedewszystkiem „Wieś i miasto"— obrazki i powieści, uważane za *arcydzieła* autorki. Dalej idą: *Hanna z Grzymałowa,* powieść z czasów Kazimierza Wielkiego, *Natalia, Zapóźno i jeszcze dość wcześnie, Poranki i wieczory, Wawrzyna, Helena i Wróżka, Różni ludzie, Irena, Pan Wojski, Skalińce, Na pograniczu, Dziedziczka Jodłowca, Mrowin i Trock, Fata Morgana* i wiele innych, ogółem przeszło czterdzieści tomów, pisanych pospiesznie, bez śladów jakiejkolwiek myśli artystycznej w założeniu i wykonaniu.

Obok tych powieści został nam jednak po Wilkońskiej pamiętnik, w którym spisała ona szczerze, prosto, bezpretensyonalnie swoje wspomnienia. Dotyczą one przedewszystkiem Warszawy, którą młoda Wielkopolanka bardzo pokochała i dotyczą tych ludzi, których Wilkońscy na drodze swojej spotkali, a którzy bądź należeli do ówczesnego towarzystwa warszawskiego, bądź byli wybitniejszymi przedstawicielami literatury i sztuki.

Epoka, w której Wilkońska poznała i opisała Warszawę, ma swoje oblicze własne w dziejach naszej stolicy i kraju. Była to epoka rządów Paskiewiczowskich. Chwila nowego przełomu zbliżała się. Na horyzoncie gromadziły się już wówczas chmury,

z których następnie miała się wyzwolić burza 1863 r. Czuć to było w atmosferze miasta w latach pięćdziesiątych, odbijało się to wszędzie i we wszystkiem i kładło swoje specyficzne piętno nawet na charakterze zebrań towarzyskich.

Wilkońska, naturalnie, nie miała tej oryentacyi we wszystkiem, jaką posiadały ówczesne umysły ludzi światłych i wybitnych, potrafiła jednak mniej więcej trafnie oddać nastrój ogólny, oraz nakreślić kilka wiernych wizerunków salonów i osób, które znała osobiście i z któremi łączyły ją często węzły zażyłej przyjaźni.

Z tego względu *Pamiętniki* jej z biegiem czasu nietylko nie utraciły wartości, ale przeciwnie nabrały jej, gdyż to, co w chwili ukazania się książki w pierwszem wydaniu, było jeszcze bardzo świeże i dobrze znane wszystkim, dzisiaj należy już do przeszłości, która odbiegła od nas daleko. To i owo znamy jeszcze z opowiadań i tradycyi rodzinnych, lub z rozpraw i szkiców literackich, żywe jednak życie nie jest już dla nas uchwytne. Fizyognomia jego, jak fizyognomia samej Warszawy, zmieniła się całkowicie, przeobraziła się gruntownie, idąc w niejednym kierunku naprzód, ale i w niejednym przekształcając się wbrew kulturalnym tradycyom społeczności polskiej.

Nie może też być rzeczą obojętną dla czytelnika współczesnego poznać za przewodem Wilkońskiej to życie, jakiem żyli jego ojcowie i dziadowie, przed laty sześćdziesięciu i ten jest powód, dla którego przypominamy autorkę „Wsi i miasta“ szerszemu ogółowi. Każdy znajdzie w jej pamiętnikach nie-

wątpliwie niejeden szczegół, który go zajmie, niejedną postać, która mu przypomni inne, droższe postacie, niejeden wyraz, który w nim oddźwięknie głębiej i wywoła w jego wyobraźni wizyę przeszłości, z którą wszyscy związani jesteśmy blisko i serdecznie.

Zdzisław Dębicki.

Do moich czytelników.

Zachęcona oddawna, wielostronnie, jako też z własnem poczuciem, bym skreśliła życie towarzyskie w Warszawie, w którem przebywałam: co tam poznałam i w pamięci, i w ciepłem przechowałam sercu, — podjęłam nakoniec pióro i rzuciłam na papier co myśl skora przyniosła — bezsztucznie —szczerze—z prawdą a wiernie. Nie są to Pamiętniki ani też Notatki anegdotyczne, ale poprostu Wspomnienia. Możem często zbyt przychylnie chwytała wszystko, zbyt barwnie i słonecznie, ale takiem już moje usposobienie, które wszędzie raczej dodatnią tylko podejmuje stronę. Przyczynia to zapewne wdzięku w bycie własnym — ale może i pewną oznacza... słabość. Jeżelim przeto zadaniu nie odpowiedziała mojemu, wybaczcie! Bo wola była najlepszą.

Ślady owego życia dawniejszego Warszawy zacierają się coraz bardziej. Zanim przeto zdolniejsze pióro obraz tegoż poda więcej dokładny,

przyjmijcie książeczkę moją, jako skromną niezabudkę do większego złożoną wieńca.

Zamierzyłam w tych Wspomnieniach o życiu towarzyskiem w Warszawie jaknajmniej mówić o mężu moim i o sobie — lubo, że znajomi nasi właśnie zachęcali przeciwnie, a raczej żądali wyraźnie, by jaknajwięcej o nas obojgu powiedzieć. Godziłam więc, o ile mogłam, jedno z drugiem. Potrzeba pierwej oswoić się ze wszystkiem — i dopiero w następnych Wspomnieniach, zwłaszcza też o mężu moim, opowiem więcej.

Paulina Wilkońska

Poznań w maju 1871.

I have been in Corisande's garden,
and she has given me a rose.
Disraeli.

„Byłem w ogrodzie Korysandy — mówił Lothair—i dała mi różę".—Tak kończy Disraeli swoją pięknie napisaną, rozgłośną powieść.

A ja zaczynam: Mieszkałam w Warszawie i nader miłe na zawsze dała mi wspomnienie.—Zaznałam w dawnej Wazów stolicy zacność, szlachetność, poczciwość—podniosłe obowiązku poczucie — miłość gorącą dla kraju i współbraci. Zamiłowanie języka i piśmiennictwa naszego. Pracę na niwie inteligencyi ojczystej: pracę — i walkę o nią i dla niej! — A doznałam osobiście życzliwości szczerej i objawów przyjaźni rzadkiej. Nadto, ileż to tam godzin — ileż wieczorów przebyłam wesołych! — O łzach i bólach — onych cierniach żywota dotkliwych—krwawiących—tutaj na teraz mówić nie będę. Raczej pragnę tylko światlejsze w pamięci pochwycić smugi — gwiazdki niebieskie, niezabudki *i róże.*

Lubię wprawdzie we wszystkiem dodatnią tylko chwytać stronę, i tę jeszcze zwykle własną zabarwię i dopełnię wyobraźnią. Jest mi z tem jakoś dogodniej — spokojniej — błożej. Może to i przez pewien rodzaj... duchowego lenistwa — a może też przez... zbyt dobrą wolę — i życzliwość dla ludzi. Sama odgadnąć nie potrafię. Więc też wolę w drugie uwierzyć, choćby tylko przez wrodzoną nam dla siebie samych pobłażliwość. — Zatem towarzystwa warszawskie nieskażony na zawsze dla mnie pozostawiły urok. Lubo, że nieraz i przygan pod tym względem posłuchać musiałam, — jak to zwyczajnie bywa wśród ludzi zdań różnych—a jeszcze różniejszych uwidzeń—niekiedy wszelako i z ważnych powodów—i z przyczyn niezbitych.

Pamiętam, wychodziliśmy raz z mężem z salonu państwa *** — już o porannej godzinie. Szron z lekka drzewa ogrodu Saskiego posrebrzył. Nie zróżowiało od wschodu. Po ulicach wieśniacze przeciągały wózki. Mleczarki przydążały i przekupnie. Praca i zabieżność już się krzątały — a myśmy dopiero gwarną opuścili zabawę i... na spoczynek dążyli! — Dotknięta niezbyt przyjemnie tą myślą, głośno uwagę swoją wypowiedziałam.

— Rzecz powszednia, pani — ozwał się na to nasz towarzysz i przyjaciel, Bogdan Dziekoński — tak bywa zwykle: marnowanie czasu obok skrzętności, bo jedni go mają na poziewanie za wiele, a drudzy za mało, by potrzebom życia zaradzić, próżniactwo obok nieustannej pracy; ciężar żywota *obok płochego gonienia*... za wiatrem, za rzeczością.

A wreszcie nędza i głód, obok zbytków wymyślnych...

— Jakież to ponure obrazy!—zawołałam—i to z wesołego wychodząc salonu.

— Właśnie też dlatego... i wiem, że mnie pani zrozumiesz.

— Myślę wszelako, żeś pan także kilka godzin przyjemnie spędził, lubo, że namówiony poszedłeś tylko.

— Tak, prawda... niby jaśniej mi było przez chwilę i to gniewa mnie właśnie — odrzekł półgębkiem i za wąs targnął.

— Wykonanie Beethoven'a było przecudne. Śpiew ze Stradelli prześliczny. A przytem rozmowy ożywione, pełne interesu i dowcipu.

— Było to wszystko!—stłumił westchnienie— Beethoven, Stradella... Poezye na gruzach!.. A ja własnem patrzyłem się okiem i uchem duszy w rozterce słuchałem—ściągnął białe rękawiczki, rwał je na kawałki i rzucał.

— Co pan robisz?—zawołałam znowu.

— Radbym tak podarł przysłonę fałszywego położenia społeczności dzisiejszej—odrzekł autor Sędziwoja — złudę, pozłotę i wsteczność. Nie mówię o dzisiejszem zebraniu, nie mówię wyłącznie o nikim... bo mnie całość boli.—Niechaj każdy, jak może zrywa kwiaty do wieńca żywota: swoboda umysłu i pogoda ducha wielkim nieba są darem, a korzystać z nich obowiązkiem nawet. Mnie wszelako długo zapewne świetne nie ujrzą salony... a może już nigdy!—i porzucił ostatni kawałek białej skórki w *kałużę stopniałego* szronu.

— Mój panie!—szepnęłam.

— Może zbyt cierpko rani mnie wszystko — ciągnął Bogdan Dziekoński dalej — może omylnym patrzę się wzrokiem i stępionym chwytam słuchem. Ale, nie mogę inaczej, bo w łonie mojem gorzka wre boleść.

August dłoń jego uścisnął. A jam na oczy zaciągnęła kapturek, by od rannego powiewu łzawą zasłonić źrenicę.

Przechodziliśmy właśnie obok smutnej pamięci pomnika na Saskim dziedzińcu.

Piątkowe wieczory pani Katarzyny Lewockiej.

Gdyśmy zamieszkali Warszawę — roku 1842, głośnemi podówczas były salony: pani Lewockiej, pani Niny Łuszczewskiej, wojewodziny Nakwaskiej i t. d. Zwłaszcza też trzy wymienione gromadziły wszystko, co tylko Warszawa miała inteligentnego, a zarazem i tak zwany wielki świat stolicy. A jakkolwiek pewnie salonowi pani Récamier, Rambouillet, du Deffant i późniejszemu pani Emilowej Girardin, nie dorównały, boć Warszawa to nie Paryż, zwłaszcza też Warszawa w obecnych stosunkach, to wszelako mogły przypomnieć tamte. Spotykali się tam uczeni, poeci, artyści—i to artyści wszelkich gałęzi sztuki, bo także i artyści dramatycznej sceny warszawskiej. Nadto i świat elegancki—młodzież złota—i panny na wydaniu.

Nigdy nie zapomnę mojego pierwszego wystę-
pu, że się tak wyrażę, w salonie pani Lewockiej.

Było to po ukazaniu się pierwocin powieści moich: „Wieś i miasto".

„Biblioteka Warszawska", udzieliła mi zaszczytnej gościny w łamach swoich, zamieszczając malutką powiastkę: „Rozyna", czem otworzyła mi zaraz przybytek księgarski, że i nietrudno było znaleźć nakładcę w panu Leonie Glücksbergu.

Jednocześnie ukazała się i pierwsza ramotka Augusta, „Wspomnienie szkolne", także w „Bibliotece Warszawskiej", czyniąc talent jego niemal rozgłośnym odrazu. Weszliśmy zatem w świat literacki i towarzyski Warszawy.

Pani Lewocka, pełna uprzejmości, przyjęła mnie sympatycznie nader—i ochoczej dodała otuchy. Wielkiej wprawy towarzyskiej, czyniła na mnie wrażenie osoby, budzącej wdziękiem prostoty zaufanie. Odwiedziła mnie w dni parę potem i zaprosiła nas raz na zawsze na piątkowe wieczory.

Nadszedł tedy ów piątek pierwszy. Z bijącem sercem weszłam po wschodach pawilonu Kazimirowskiego pałacu. Przy drzwiach salonu powitała nas poważna postać gospodarza domu, znanego w świecie uczonym. Pani Lewocka mile uśmiechnięta, powiodła mnie do koła pań kilku. Pomiędzy niemi była i zacna siostra niezapomnianej nigdy Klementyny Tańskiej, pani Tarczewska. Całe to grono nader uprzejmym wyrazem młodą powitało autorkę— i w jednej oswoiły i przyswoiły mnie chwili.

Córka i syn gospodarzy domu — pan Józef i panna Helena—byli rodzicom pomocą w przyjmowaniu gości.

Po godzinie ósmej salon ożywiać się począł—

i zapełniło go niebawem wszystko, co Warszawa znakomitego w swoich murach mieściła. Spotkałam tamże wtedy po raz pierwszy pana Augusta Cieszkowskiego, autora znakomitego i wielkiego rozgłosu dzieła wydanego przed laty paru: *Du crédit et de la circulation*. Dalej głębokiej nauki: *Prolegomena zur Historiosophie, Gott und Palingenesie* — i „O filozofii jońskiej". Nadto leżała na stole i praca jego „O ochronkach wiejskich".

Pani salonu przedstawiła mnie jeszcze kilku paniom—i przedstawiło mi się kilkunastu mężczyzn. Pomiędzy tymi szczególniej zwrócił uwagę Aleksander Tyszyński, autor „Amerykanki w Polsce"— i względny krytyk powieści moich. A byli tam: pp. Michał Baliński, znakomity historyk, Feliks Zieliński, Leon Potocki, Antoni Czajkowski, poeta, Józef Paszkowski, poeta Józef Paszkowski, pułkownik, mąż zasług wielkich i prawości wielkiej. Zacna małżonka jego i malarka umiejętna, na której obraz, przedstawiający zamek krupski, darowany mi na pamiątkę, patrzę się właśnie. Szabrański, redaktor „Biblioteki Warszawskiej", poeta, Edward Dembowski i Skimborowicz, redaktorowie „Przeglądu Naukowego", Franciszek Gąsiorowski, znany z dowcipu,Tymoteusz Lipiński, Baranowski, astronom, panna Józefina Osipowska, autorka „Księżniczki Słuckiej", Ludwik i Cypryan Norwidowie, i tylu, tylu innych.

Liczne zebranie na różne rozdzieliło się grupy. Gwar wesoły, ożywiony szerzył się w koło. Do mnie panie zagadywały o powieściach moich i musiałam z niejednego otwartą zdać sprawę. Lecz było mi

z tem i dobrze, bom w ich zapytywaniach raczej sympatyę, a nie grzeczną tylko odgadywała ciekawość.

Wtem zbliża się pani domu, uśmiechnięta obejmuje mnie i szepce do ucha: „Pan Leon Potocki mówił mi właśnie: Czyliż podobna, że to młode stworzenie już sto powieści zrodziło?".

Była to opinia, którą mi mój humorystyczny zrobił małżonek, a jeden z redaktorów rozgłosił. Rozśmiałem się z rumieńcem lekkiego pomięszania na licu. Pan Leon Potocki stał opodal i uśmiechnął się także, snać wiedział, że to o nim pani Lewocka mówiła. Pan Leon był synem generała Stanisława (Stasia) Potockiego. Poeta, powieściopisarz, recenzent, i jeden z redaktorów „Biblioteki Warszawskiej". Autor nader zajmującego opowiadania: „Święcone w pałacu Potockich", do którego treść podała mu pani Lewocka. A dalej jeszcze: „Wilczek i jego pięciu synów", i wydanych w latach ostatnich „Pamiętników Kamertona".

Po chwili przybyła pani wojewodzina Nakwaska, wielkiej powagi niewiasta, autorka „Czarnej mary" i t. d. Sędziwa, z przygasłym już nieco wzrokiem. Dowcipne jej odpowiedzi krążyły nieraz po Warszawie. Polka całem sercem i duszą, bolała nad tem, na co patrzeć się musiała, a prawdomówna, szczera i odważna zwykła karcącem słowem każdą zdrożność i wsteczność, każdy przeciw-narodowy ukarać objaw.

Pani wojewodzina zagadała do pana Augusta *Cieszkowskiego* o jego pracy „O ochronkach wiejskich". *A znać* nie całkiem do jej przekonania

przypadła, bo siedemdziesięcioletnia pani, pewnie inne miała zapatrywanie. Uczony autor „Prolegomena zur Historiosophie", nic nie odpowiedział, i skłonił się w milczeniu. Zdziwiło mnie wszelako niemało, gdy jedna z bogatych dziedziczek dóbr rozległych, wskazując tę książkę wyrzekła:

— Takie ochronki mogą urządzać dziedzice na jednej wiosce, ale kto ma dobra tutaj, na Wołyniu i w Galicyi, to niepodobna, by mógł zajmować się niemi.

Nikt jej nie odpowiedział, bo właśnie drzwi otworzono i ukazała się wysoka, barczysta postać w mundurze pułkownika rosyjskiego. Spojrzałam się zdziwiona. Wojewodzina wyciągnęła ku niemu rękę, a jedna z pań obok poszepnęła: „Nasz bard, nasz wieszcz, pan Albert Potocki!" Poeta, powieściopisarz, wzięty w młodzieńczym wieku nagle, za objawy zbyt gorącego patryotyzmu do wojska jako prosty żołdak. Zesłany na Kaukaz, gdzie po latach długich służby ciężkiej i cierpień, wyższej wojskowej dosłużył się rangi, gdzie poznał Apostoła Murawiewa, skazańca, piszącego prześlicznie pod pseudonymem Marlińskiego. Więc też z współczuciem po raz drugi spojrzałam się ku niemu i spotkałam dobroduszne, pełne sympatycznego wyrazu oblicze. Za powrotem od lat podobno niewielu do kraju, pan Albert w krótkim czasie na horyzoncie piśmiennictwa naszego zasłynął. Napisał krytykę przekładu niektórych dramatów Szekspira, przez Kefalińskiego (ks. Hołowińskiego), którego Akefalińskim nazwał. Drukował przełożone poezye z języków tureckiego, *perskiego i t. d.*

Usiadł przy naszym stole. Wojewodzina zapytała, czyli nic z sobą świeżo-stworzonego nie przyniósł. Uśmiechnął się, i wyciągnął welinowy arkusik.

— Do Kraszewskiego—wymówił.

— Wiersz do Kraszewskiego! — powtórzono w koło, i wszystko cisnąć się poczęło.

Poeta przeczytał nam wiersz zgrabny, gładki, napisany z dobrodusznym humorem, w którym przemawia do twórcy „Świat i poeta, ażeby tak wiele nie pisał!"

Mnie zrobiło się chmurno i przykro, żem aż głowę spuściła. Nie zważałam nawet na czynione uwagi i pochwały. Potem obejrzałam się za Augustem, czyli coś na to nie powie. Nie było go, bo właśnie z kilku panami na drugim końcu salonu rozmawiał. Nie słyszeli tego także ani Hipolit Skimborowicz, ani też Edward Dembowski.

— Tak, tak, on za wiele pisze — powtórzył jeszcze pan Albert.

— Ale jeżeli to jest koniecznością dla jego serca i duszy! Jeżeli tego widzi potrzebę... a umysł jego i siła jego twórcza spocząć mu nie dadzą?— rzuciłam szybko i odważnie.

Pan Albert spojrzał się na mnie.

— Może łatwo wyczerpnąć tę siłę, pisząc zawiele, pani!—odrzekł pochylony ku mnie, wypisze prędko, zużyje, to i szkoda go będzie.

— Och nie, nie wypisze się!—zawołałam znowu —*jest tam* podobno zasób ogromny, miłość ludzi wielka, *ztąd i potęga*,—tchu mi zabrakło.

— Więc mu tego wiersza nie przesłać?—zapytał poeta dobrodusznie.

W milczeniu pochyliłam czoło. Przemówiła zatem pani Lewocka i wojewodzina także. Pan Albert złożył welin z uśmiechem.

Nie wiem, czyli wiersz ten był drukowanym? Czyli autor Sfinksa widział go kiedy?

W czasie rozmowy powyższej rozdzielono w towarzystwie kartki, i rozpoczęła się gra piśmienna: zapytania i odpowiedzi. Pióra i ołówki były w robocie. Po chwili rozwijano rzucone do urny kartki i wygłaszał treść ich jeden z panów. Zapamiętałam niektóre.

„Czemżeż jest wieszcz nasz, pan Albert Potocki dla kobiet"?

„Kaprysem".

Pan Albert, czyli Wojciech Potocki, ulubieniec ówczesnie salonów, napisał był wiersz ładny, „Kaprys", który w świecie eleganckim podobał się bardzo, mianowicie też paniom.

„Jakaż jest różnica pomiędzy panią Klementyną Tańską, a panią Z".

— Pierwsza po żyznej, rodzimej chodzi niwie, druga po czczem buja powietrzu.

— Odpowiedział znać jakiś antagonista systemu uczonej autorki!— zagadał pan Franciszek Gąsiorowski.

— A ja pewniebym odgadł,—poszepnął znakomity autor „Pamiętników o królowej Barbarze", i z uśmiechem rzucił ukośne spojrzenie na jednego z redaktorów.

„*Czem jest śpiew*"?

„Gimnastyką głosu",
„Czy wdzięczność jest cnotą"?
„*Qui, grace aux ingrats!*"

Gdy tę francuską przeczytano odpowiedź, niepośledni zrobił się harmider. Odgadnięto autora, i musiał zaraz odpowiedź swoją w polskich położyć słowach.

— Jeszcze prosimy o porę arkusików papieru!—wymówił dźwięczny głosik przy stoliku, gdzie siedziały panienki. I pan Józef Lewocki z świeżym przydążył zapasem.

— Arkusiki! Arkusz! — wymówił pułkownik Paszkowski,—a słyszeliście już państwo jaką to etymologią senator Starynkiewicz temu wyrazowi nadaje?

— Nie, nic nie wiemy! — ozwano się w koło.

— A prosimy szanownego pułkownika o tę wiadomość, dodał redaktor „Przeglądu Naukowego".

— Otóż twierdzi on, że pierwsze arkusze papieru, jako wynalazek germański, z Niemiec do Polski przywiezione zostały. Szlachcic jakiś, biorąc z nich jeden do ręki, zapytał ciekawie: „Was ist das?" Niemiec odpowiada: „Ein Bogen Papier". Szlachcic nie zrozumiał, więc dalej do dykcyonarza niemiecko-łacińskiego. Szuka Bogen i czyta: Arcus. Potem papyrus. I ztąd nazwa arkusz papieru powstała.

Rozśmiali się jedni, drudzy czoła pomarszczyli.

— Dowcipny Moskal! — rzucił ktoś z boku półgłośnie.

— A zawsze kosztem naszym—dodał ktoś drugi.

Podano właśnie powtórną seryę kartek.

Zebranie rozeszło się po północy.

Pierwszy ten piątek tak ukołysał mnie mile i pole wdzięcznych ukwiecił marzeń, żem tej zimy rzadko opuściła który.

W dni parę po tym pierwszym dla mnie piątkowym wieczorze, przyszli do nas redaktorowie „Przeglądu naukowego.“ Obadwaj, posłyszawszy o wierszu do Kraszewskiego Wojciecha Potockiego, żałowali, że go nie słyszeli — bo byliby się odezwali. Zwłaszcza też Skimbrowicz, od serca przyjaciel i gorący wielbiciel autora „Świata i poety“. Zebrał był właśnie swoje „Piśmiennictwo krajowe“ z którego dochód przeznaczył na postawienie pomnika Antoniemu Malczewskiemu na Powązkach. Widziałam ten pomnik później u kamieniarza, przy cmentarzu powązkowskim. Jest to niby odłam skały czworobocznej, ale nie całkiem foremny. Od góry, na prawo, przez łupanie kamienia utworzyło się jakby godło opatrzności wśród chmury. Poniżej wyryto skromny napis: „Autorowi Maryi“. Leżał u kamieniarza—bo nieodszukaną dotąd była mogiła wieszcza. Dziś już można go widzieć na cmentarzu — ale czy istotnie na grobie wieszcza, któż to wie?!— Nieznana ręka, poetycznym uniesiona zapałem, nakreśliła na kamieniu ołówkiem:

Autorowi Maryi napis i dość na tem.

Lecz Polska, jak jest cała, potrząsła go kwiatem.

Pani Lewockiej ofiarował Skimbrowicz egzemplarz „*Piśmiennictwa*“ z przypiskiem — i przeczytał

nam uprzejmy jej liścik z podziękowaniem za ten upominek przyjazny.—Był on z nader wielkim szacunkiem dla domu państwa Lewockich — tak samo i Edward Dembowski.

Ten ostatni był dziwnie smutny dnia tego, zamyślony, znękany i blady. Zapytałam go przychylnie o przyczynę.

— Och! pani!—odrzekł — urodziłem się z wyrytym na czole mojem stygmatem: Męczennik.

W duszy jego i sercu szlachetnem zawsze bolała Polska. I to przeczucie smutnej doli własnej—ofiarnej—odzywało się w nim często.

W kilka miesięcy potem napisał mi także w Albumie:

„Kreśląc ci, Pani, myśl moją w tej chwili — cóż napisać mogę więcej—szczerzej—nad obraz własnejże myśli?—Otóż porównanie ją objawi: Jest burza, słota, wśród morza w głębinie strzaskana—niejedna łódź ginie—bo grom żywota nie szczędzi nas. My giniem — Ty zostaniesz. — Twój bieg spokojny i czysty—jak łza współczucia. Twa dusza—to łza, lecz łzą jest nadziei — bo jutrznią jest nowych towarów.

O płyń—dąż — nie ujrzę Cię w mym biegu — bo gdy Ty blizka celu, blizka zbawień brzegu — jam w myśli dziedzinie zbłąkana—więc ginę...

Edward Dembowski".

W czerwcu r. 1843 widziałam go po raz ostatni. Przyszli do nas oboje — z panią Anielą. Mówiliśmy wiele—a ubolewali nad wszystkiem.

W końcu lipca—podobno—wbiegł do nas pro-

fesor D. — August był w redakcyi „Dziennika powszechnego“.

— Wie pani co się stało?—A czytałam przerażenie w jego twarzy.

— Cóż takiego?—zadrżałam.

— Aresztują, w Lublinie, na prowincyi, tutaj... Edward Dembowski z żoną już są za granicą szczęśliwie. A z niemi i Roman Zmorski.

I wymienił jeszcze nazwisk kilka.

W pamiętnym, aż nadto pamiętnym roku 1846 padł Edward Dembowski bohatersko na Podgórzu, wychodząc na czele poświęcającej się młodzi, dla powstrzymania rzezi w Galicyi. Padł wystrzałami austryackich ugodzony żołnierzy, zasiekany jako męczennik!—Przeczucie jego, niestety, spełniło się aż nadto prędko!

Odznaczała go zawsze, może zbyt wrząca dusza, ale zarazem i chęci najszlachetniejsze, zdolność, zamiłowanie pracy, serce poczciwe i gorąca miłość kraju.

Miotany ciągle walką wewnętrzną, nigdzie spokoju znaleźć nie mógł.

Pani Katarzyna z Lipińskich Lewocka, żona wizytatora szkół w Królestwie Polskiem, była córką majora b. wojsk polskich, a siostrą Tymoteusza, profesora, spółautora „Starożytnej Polski“. Urodziła się w Muraffie na Podolu ruskiem. Po śmierci ojca bawiła czas jakiś w domu księżnej Sapieżyny, mieszkającej we własnym pałacu w Warszawie. Stryj jej Józef, także wizytator szkół i cało-

nek b. izby edukacyjnej, zostawał w ścisłych stosunkach z Czartoryskimi, Zamoyskimi i Potockimi, z których Stanisław był jego ministrem. Ztąd i pani Lewocka bywała w tych domach jako panna, a następnie i jako mężatka. Przechowała stosunki z książęcymi dziedzicami Puław, i można było członków tej rodziny w jej spotykać salonie.

Julian Ursyn Niemcewicz był jej wielkim przyjacielem. Trzymał do chrztu syna Józefa i zrobił mu zapis w testamencie.

Napisała mnóstwo książeczek, służących dla młodzieży i dla biednej klasy, szczególniej rzemieślników: „Powieści moralne dla dzieci"; „Jeszcze jedna powiastka", ofiarowana (1840) na dochód sali ochron; „Powieści starego sługi"; „Głos ubogiej matki do córki, udającej się w służbę"; „Bal w resursie"; „Domek na Topielcu"; „Kasper owczarek", sztuka dramatyczna z prawdziwego napisana zdarzenia; „Formalista, czyli czarno na białem"; przysłowie w scenach, drukowane w „Przyjacielu ludu 1839"; „Obiad u Mary'ego". „W Kółku domowem", zajmujący opis niespodzianek sprawionych Niemcewiczowi w Wilanowie przez grono kobiet, do którego sama należała i bytność ich u niego w Ursynowie. Nadto podawała artykuły do „Pielgrzyma" „Piśmiennictwa krajowego", „Gazety porannej", „Pierwiosnka" i t. d.

Wiszniewski w przedmowie do trzeciego tomu „Piśmiennictwa" swojego wspomina o niej zaszczytnie.

Od lat najmłodszych wiązała ją przyjaźń z Klementyną z Tańskich Hofmanową i ta ostatnia napisała *dla jej córki* „Wiązanie Helenki".

Pani Lewocka odwiedzała po razy kilka za granicą zacną i znamienitą autorkę naszą. Zwykle jej zawoziła upominki różne z ukochanej ziemi— z drogiej jej na zawsze Warszawy, zbierając przyczynki do tego wieńca pamiątkowego u przyjaciół i znajomych. Gdy więc w ciągu lata wybrała się znowu, by przyjaciółkę odwiedzić, zachęcona, przyłączyłam do zebranych dla niej upominków i dwa tomy „Powieści" moich. Czem chata bogata, tem rada. Za powrotem przywiozła nam pani Lewocka z osobna dla każdego, ręką autorki „Dziennika Franciszki Krasińskiej", na arkuszu wypisanych po słów kilka i obdzieliła nas wyciętemi kartkami. Dla mnie następujące były wyrazy, które z poszanowaniem w mojej książce pamiątek przechowałam.

„Pani Pauliny Wilkońskiej pisma przeczytałam z wielką przyjemnością, już znałam dawniej gładkie jej pióro. Dziękuję jej za uczyniony mi dar, za pochlebne wyrazy, a kiedy pozwala dać sobie rady jakie do dalszych prac, życzyłabym jej, żeby się wzięła do jakiej większej pracy historycznej. Kroniki tylko nasze i Niesieckiego przewertować należy a treść obfita się znajdzie".

Później, po latach, kiedym w rodzime Poznańskie wróciła i znowu zamieszkała tutaj, odwiedziłam w roku 1855 miłą mi Warszawę i dawnych tamże odszukałam znajomych. Podążyłam także do pani Lewockiej — była wdową i mieszkała z córką, panią Łempicką, przy ulicy Królewskiej. Przyjmowała zawsze jeszcze dość liczne grono osób, i na-

der przyjemnie kilka u niej spędziłam wieczorów. Ubyło bardzo, bardzo wielu z dawnych znajomych i koryfeuszów, jedni do lepszej przenieśli się ojczyzny — drudzy byli na wygnaniu — a inni wiedli smutne życie tułaczy. — Bywali tam zawsze jeszcze pułkownikowstwo Paszkowscy, Lipiński—brat pani domu—dalej Henryk Cieszkowski, Seweryna Pruszakowa, Józefa Śmigielska, Julja Janiszewska, Apolinary Zagórski, pani Górecka, Lindówna z domu—January Suchodolski, syn jego Zdzisław i wielu innych.

Przeczytano zwykle, czy to świeżą poezyą, czyli też jaki ważniejszy ustęp—albo broszurę i rozmowa toczyła się ożywiona.

Na jednym z tych wieczorów przeczytał pan Henryk Cieszkowski „Glossę św. Teresy" poezyę prześlicznie spolszczoną przez Zygmunta Krasińskiego. Różne wszelako co do tej treści powstały sądy: jedni przeczuwali w niej miłość niebiańską jedynie, drudzy sfanatyzowane uczucie ziemi. Jedni nazwali „Glossę" szczytem religijnej poezyi i podniesieniem ducha, drudzy, mistycyzmu namiętnem wołaniem. Były to zaprawdę dziwnie sprzeczne zdania.

Podniosła poetyczność „Glossy" przejmowała szczególniej religijnym entuzyazmem piękną duszę Apolinarego Zagórskiego młodego Wołynianina wielkiej zacności i ewangelicznej czystości ducha. Lubił zwykle o religijnych mówić przedmiotach, a mówił z namaszczeniem, z głębokością myśli i uczucia. Napisał rzecz śliczną „Kielich goryczy" i powierzył mi druk tegoż. „Kielich goryczy" wyszedł u I. K.

Żupańskiego w r. 1855, lecz został skonfiskowanym. We dwa lata później zgasł Apolinary Zagórski na piersiową chorobę, żałowany przez wszystkich, którzy go znali.

Pani Lewocka i dziś jeszcze przyimuje. Bywają u niej, jak dawniej, literaci, artyści i osoby z tak zwanej arystokracyi. Piątki zamknęła wszelako po stracie syna, który przed latami kilku nieszczęsnym utopił się wypadkiem. Przetrwała smutki różne i boleść niejedną, jest cierpiącą fizycznie, lecz dotąd, jak słyszę, nie straciła na duchu i rzeźwości umysłu.

Wieczory poniedziałkowe pani Niny Łuszczewskiej.

Salon pani Niny Łuszczewskiej, córki generała b. w. p. Żółtowskiego, przez lat wiele był prawdziwą chlubą Warszawy. Uprzejma, wykształcona, pełna wdzięku, gospodyni domu i małżonek jej prawy, rozumny, wyższej, naukowej umysłowości, pan Wacław Łuszczewski—umieli oboje w wysokim stopniu, położonemu sobie zadaniu jaknajzupełniej zadość uczynić. Na poniedziałkowych wieczorach bywało po sto osób i więcej. Zwłaszcza też, gdy córka ich, Deotyma, swoim niezwyczajnym zajaśniała talentem.

Pani Nina łacno zjednywała sobie sympatyę, powabem naturalnej dobroci i życzliwą dla każdego uczynnością. Mając nader rozległe stosunki, chętnie z nich korzystała, gdy chodziło o zrobienie *przysługi* komu lub niesienie pomocy. Samam tego *doświadczała* w chwilach ciężkich uwięzienia męża

mojego w cytadeli. Dawała mi wtedy dowody życzliwości najszczerszej, odwiedzała, radziła, okazywała współczucie i niosę serdeczną wdzięczność jej pamięci na zawsze.

Pan Wacław Łuszczewski — syn b. ministra spraw wewnętrznych z księstwa warszawskiego, radca komisyi ogniowej, radca Towarzystwa kredytowego — mianowany kamerjunkrem cesarsko-rosyjskim—również chętnie dopomagał drugim, nie chełpiąc się nigdy tem, co uczynił.—Należał do składu „Biblioteki Warszawskiej.“ Pracował sam na niwie piśmiennictwa polskiego, wykończył niejedną naukową pracę, a napisał i parę powieści, zdolności i fantazyi wyższych — wydrukowanych w dodatku „Tygodnika Illustrowanego.“

Pani Nina zostawiła: „Opis Krakowa.“ „Dumania i modlitwy,“ wierszem. Jedną z modlitw przełożyła z pism św. Teresy, z dewizą: Cierpieć lub umrzeć. — Aforyzmy. — Rozmyślanie nad modlitwą Pańską Ojcze nasz, przekład z dzieł św. Teresy, drukowany w czasopiśmie „Pielgrzym,“ pod redakcyą Eleonory Ziemięckiej. Była członkiem Zgromadzenia arkadyjskiego — stowarzyszenia literatów włoskich i zostawała z niektórymi w korespondencyi.

W r. 1847 chcieli uczeni Warszawy dać obiad na jej cześć, i w tym celu udała się do niej deputacya, złożona z członków „Biblioteki Warszawskiej,“ na której czele był J. D. Minasowicz, radca stanu, poeta, tłomacz Szyllera. Ale podziękowała za ten zaszczyt w nader skromnych wyrazach, prosząc zarazem, by fundusz ten, raczej użytym został na wy-

dánie dzieł Kopernika. Uszanowano wysoce tę jej odpowiedź i wskazówkę.

Oboje państwo Łuszczewscy sercem polskiem każdą polską obejmowali pracę.

Mieli dwie córki: Kazimierę, znaną jako poetkę pod pseudonimem Jolanta, zmarłą w r. 1862 panią Komierowską, i Jadwigę—Deotymę, słynną improwizatorkę—poetkę, którą w Niemczech Das Wunderfräulein nazwano.

Prócz poniedziałków, bywało w domu pp. Łuszczewskich, i każdego niemal wieczora, ściślejsze, poufne kółko przyjaciół i koryfeuszów naukowych. Czytywano świeżo wyszłe, znakomitsze dzieła, rozbierano je, wykładano, jak np. „Komos“ Humboldt'a. Panny były obecne zawsze, co niezmiernie na ich umysłowe wykształcenie wpłynęło. Przeto i nic dziwnego, że w Deotymy improwizacyach napotykamy erudycyi tyle.

W czwartki dawali obiady z dobranych uczestników złożone. Może one i nieco przypominały czwartkowe obiady Stanisława Augusta.

Spotykało się w salonie pp. Łuszczewskich całe koło literatów i artystów stolicy. Bywali doktorzy medycyny, prawnicy, profesorowie, kapłani, wszystkie znakomitości krajowe. Tam widywaliśmy pp. Andrzeja Zamoyskiego, Adama Potockiego, Tomasza Potockiego, Fryderyka Skarbka, księcia Kazimierza Lubomirskiego i t. d. Panie: Augustową Potocką, główną opiekunkę, staranną i troskliwą, niemal wszystkich dobroczynnych zakładów w Warszawie, księżnę Michałową Radziwiłłową, wdowę *po naczelnym wodzu* z roku 1831, panią Jędrzejo-

wiczową, siostrę Fryderyka Chopina, osobę nader zajmującą, wykształconą i zacną; z książąt Giedrojciów, generałową Rautenstrauch, autorkę „Ragany", „Przeczucia", „Miasta", „Góry i Doliny", „W Alpach i za Alpami" i t. d.; pannę Józefę Prusiecką, wielce miłą poetkę i zdolną, panią Paulinę z Radziejowskich Krakowową, która pierwsza w r. 1837 obudziła chęć i życie pomiędzy piszącemi Polkami, wydawanym przez lat kilka noworocznikiem „Pierwiosnek", pełną zalet i wyższego wykształcenia autorkę i t. d.

A odwiedzali salon państwa Łuszczewskich i przejezdni, obcych narodowości mężowie, jako to: książę Ksawery Marmier, Charles Estridge, Mac Donnel, Rosoglio, Giustiniani i t. p. Częstym bywał tam gościem ś. p. Leon Łubieński, wielki miłośnik i opiekun literatury ojczystej, jeden z najgorliwszych redaktorów „Biblioteki Warszawskiej. Z uczynnych, najuczynniejszy. Prosić go było o co, mówić mu było o czem, to pewno nie zapomniał, bo jeżeli zaraz zrobić nie mógł to chętnie a szczerze, przy najpierwszej sposobności zadość uczynił każdemu.

Pamiętam: przybyła do Warszawy młoda wirtuozka—Polka—ażeby dać koncert. Przywiozła do wielu osób listy polecające. Oczywiście, że do pana Leona także. Ale i do nas. Pan Leon zaraz zajął się szczerze—mimo to, że sam, jak twierdził, muzyki nie rozumiał i nie lubił. W dni parę potem spotykamy pana Leona.

— Wiecie państwo—zagadał—zrobimy fiasco

z naszą protegowaną: słyszeli ją znawcy nasi, i wydali sąd jaknajwięcej niekorzystny.

— O mój Boże! to i cóż poczniemy? wymówiłam zakłopotana.

— Będziemy sprzedawali bilety! — odrzekł z uśmiechem. — Tak, pani, tem gorliwiej będziemy sprzedawali bilety.

I tak się też stało. A przy gorliwej protekcyi, to i koncert dość udał się dobrze.

Dowcipy jego, nader trafne, obiegały całą Warszawę. Nieraz może słone nieco, ale poczciwe zawsze.

W niedzielę w południe zbierało się u niego dużo mężczyzn — i słynne to były owe poranki. — Warszawa ze śmiercią jego straciła dużo

Wdomowionym był tam także i dominik Szulc, b. profesor wileńskiego uniwersytetu. Mąż uczony, sarkastyczny nieco, żartowniś, ale w gruncie zacny i poczciwy. Autor arcy-ważnej pracy „O znaczeniu Prus dawnych"—„O Pomorzu zaodrzańskiem"—„O źródle wiedzy tegoczesnej"—„Żywot Kopernika" i t. d. Gdy raz zapytano Franciszka Gąsiorowskiego:

— A co tam wczoraj czytaliście na posiedzeniu „Biblioteki Warszawskiej"—odpowiedział:

— Szulc Dominik Prusakom znowu kawał kraju odebrał.

Słyszeliśmy w salonie pani Niny: Apolinarego Kątskiego, panią Poźniakowską, pannę Zofią Malhomme, Ignacego Komorowskiego, twórcę „Kaliny" i tylu innych prześlicznych śpiewów. Zgasł przedwcześnie na piersiową chorobę. A pragnieniem je-

go było zawsze, ażeby w cieplejszym odetchnąć klimacie, tęsknił do ziemi klasycznej — by włoskiej posłuchać muzyki—i kształcić się coraz wyżej, a wyżej. To żądanie duszy nie spełniło się — i zgasł przedwcześnie. Na cmentarzu powązkowskim wdzięczni rodacy postawili mu pomnik: odłam skały z napisem „Śpiewakowi Kaliny," po nad którą wznosi się krzyż, mający niby chustką przewiązane ramiona, jak to jest we zwyczaju ludu na Mazowszu. Po prawej stronie krzyża stoi chłopię z krakuską w ręku i fletnią, a drugą składa wieniec laurowy na grobie śpiewaka. Był on rodzonym bratem Józefa Komorowskiego, znamienitych zdolności artysty dramatycznego sceny narodowej warszawskiej. Wiele z Teofilem Lenartowiczem przestawał.

Świetnem było przedstawienie u pp. Łuszczewskich wyjątku lirycznej części Faust'a Goethe'go, z muzyką ks. Antoniego Radziwiłła. Przekładu poezyi dokonał Włodzimierz Wolski, a podłożył go pod muzykę Józef Sikorski.

Faustem był Michał Morzkowsi.

Mefistofelesem, Włodzimierz Wolski.

Gretchen, pani Kurcowa.

Duchem, Józef Komierowski, obywatel z Płockiego, poeta.

Księdzem, Józef Komorowski, artysta dramatyczny.

Chóry składali: pani Suffczyńska, panna Skibicka, panna Kazimiera Łuszczewska — i panowie:

Wacław Łuszczewski, Skibicki szambelan, Janicki, Kenig (dzisiejszy redaktor „Gazety Warszawskiej"), Leo i Friese.

Szczególniej zachwycała — porywała, modlitwa Małgorzaty:

Cierpiąca,
Ty Bolejąca.
Oblicze łaski do mnie zniż!
Miecz w Twojem łonie,
Skrwawiony tonie,
Spoglądasz tam na syna krzyż.
Wzrok w górę mkniesz Ty,
Westchnienia ślesz Ty,
W strapieniu Twem i syna — drżysz!
Męczący,
Palący
Ból tak po kościach drży.
Czego serce tęskni, żąda,
Czego pragnie i wygląda
Sama Ty wiesz — matko Ty!
Gdzie zwrócić oko śmiem,
Wciąż boli — boli w łonie mem.
Tam bólu tylko znak.
Nie sama się obaczę,
Wciąż płaczę — płaczę — płaczę —
A serce pęka tak.

Ogródek przed oknem mojem
Oblewał łez gorzki zdrój.
Gdym dla ciebie dziś z rana,
Tych kwiatów rwała zwój.

Gdy z rana po promieniu,
Zabłysło słonko tuż,
Siedziałam w mojem strapieniu
Na bielnem łóżku już.

Ach zbaw mnie, zbaw!
Od nędzy, hańby chwil!
Cierpiąca,
Ty Bolejąca,
Oblicze łaski do mnie schyl!

Później znowu było przedstawienie „Dzwonu" Szyllera, przekład J. D. Minasowicza, z muzyką Józefa Sikorskiego. Twórca „Tworów" ułożył na tę uroczystość wiersz arcy-piękny, na cześć poety Germanów, który sercem wielkiem i duchem podniosłym raczej do całego należał ogółu, bo całą ukochał ludzkość, bo zapragnął wolności i szczęsnej doli, zarówno dla wszystkich ludów. A przepiękne:

Seid umschlungen Millionen!
Diesen Kuss der ganzen Welt!
Brüder — überm Sternenzelt
Muss ein lieber Vater wohnen.

Unser Schuldbuch sei vernichtet!
Ausgesöhnt die ganze Welt.
Brüder — überm Sternenzelt
Richtet Gott, wie wir gerichtet!

Przypomina sercu naszemu:

Boże najświętszy! przez Twe święte cudy,
Oddalaj od nas klęski, mordy boju,
Połącz miłości węzłem wszystkie ludy
Pod jedno berło Anioła pokoju!

Jeżeli tam płaczą w szczęsnych duchów przybytku, jeżeli wiedzą o sprawach ziemi, wieszcz Germanii dziś łzy roni zapewne.

Gdy I. D. Minasowicz czytał wiersz swój do

Fryderyka Szyllera, miał zawsze łzy w głosie i na źrenicy.

Widziałam go w roku 1849 po raz ostatni. Mówił mi o Szyllerze, o przekładach swoich, i wiersz ten z rozczuleniem powtórzył. Mówił z bolesnem uczuciem, że mu narzucono pewne śledztwo, od którego wyłamać się nie mógł.

— Byłem im za czysty!—wyrzekł głosem stłumionym, i smutno głową pokiwał.

Śledztwo odbył. A niezadługo potem szlachetne zakończył życie. Mówiono, że skutek zmartwienia.

Dalej wykonano na poniedziałkowych wieczorach „Flibustyerów" Dobrzyńskiego, „Witoloraudę" Moniuszki, „Alpuharę" z muzyką J. Sikorskiego.

Schodzono się zwykle dopiero około godziny dziesiątej, a wielu przybywało i później. Ale można było już po ósmej kilka poufniejszych zastać osób. Tualety pań były piękne; mężczyźni w tradycyjnych frakach i jasnych rękawiczkach. Liczne zebranie podzieliło się znajomsze sobie kółka, a staraniem gospodarstwa było zapoznać jednych z drugimi. Służba roznosiła herbatę i ciasta; dalej chłodzące napoje, a wreszcie wino i zakąski. O godzinie dwunastej wniosła pani domu pierwsze z cygarami pudełko. Służba na stołach i stolikach rozstawiła ich kilka. I wtedy panie, niechcące oddychać cygarowym dymem, wychodziły niebawem jedna po *drugiej*. Pozostawało się wszelako zawsze jeszcze *kilka lub kilkanaście*. Pomiędzy tymi niekiedy i ge-

neralowa Rautenstrauch, osoba nader ożywiona, przyjemna w rozmowie, bystra i dowcipna. Przerzedziło się zatem w salonie, ale i wszystko ożywiło się więcej. Gwarzono raźniej. Rozmowa stała się mniej krępowaną i podzielone dotąd łączyły się grupy. Nieraz August opowiedział humorystycznie coś z życia: jaką żywą ramotkę, czem wszystkich do wesołego śmiechu pobudził.

Nad ranem podano kawę. Wychodząc wśród szarego zarania, a niekiedy wprawdzie i białego, gdy śnieg ziemię przysypał, wspomnieliśmy sobie autora „Sędziwoja", który gdzieś tam daleko nad Sekwaną, a może i nad Tybrem, wiódł ciężki żywot tułacza, jak to ongi w szlachetnym bólu białe podarł rękawiczki.

— Mało serc jest tak poczciwych i szlachetnych—wymówiłam, a August dodał:

— A szkoda wielkich zdolności i nauki, które się marnują. Otóż to są nieszczęsne ofiary, gdy kraj politycznego nie ma bytu!

Gdym po raz pierwszy na poniedziałkowym była wieczorze, w porze letniej, niewiele zebrało się osób. Z kobiet, prócz pani domu i panny Kazimiery, mężczyzn przyszło do trzydziestu. O dwunastej, jak zwykle, podano cygara.

— Zapal pani—zachęcała pani domu—bo inaczej żaden z panów nie zapali.

Wzięłam przeto papieros. Ale, że palić nie *umiem, a dym* mnie krztusi, więc tylko dmuchałam

zlekka, by tlił się papier, dopóki panowie swoich nie zapalili cygar.

— Jaka z pani *bonne cammarade*!—ozwał się profesor Dominik Szulc, przedstawiony mi przed chwilą, ze swoim niby ironicznym uśmiechem, a uśmiechały się i jego oczy zarówno.

— Dlączego?—zapytałam.

— Palisz pani papierosa, a nie umiesz, i poświęcasz się jedynie dla dobrej kameraderyi.

— Czyliż to ma być kompliment?

— Bynajmniej, pani! ale zkądżeż to zapytanie?

— Bo wiem, że pan z każdego pożartować lubisz, prawiąc komplimenta niezasłużone... monstrualne niekiedy.

— Monstrualne! panią szkaradnie uprzedzono do mnie.

— Ostrzeżono mnie tylko. Pan lubisz, co to nazywają, brać na fundusz: sypać wonne kadzidła... dla własnej zabawy.

— O! o! o! Ale już wiem, kto pani tak ujemnie obraz skreślił, to Mefisofeles!

Tak nazywał Włodzimierza Wolskiego.

— Jeżeli on, to dał mi tą przestrogą dowód szczerej życzliwości, bo ambra odurzać zwykła, a jeszcze nas, słabe kobiety! Pan sobie pożartować lubisz.

— Ale gdy powiem prawdę...

— Prawda jest wiarą! Lecz prawda wygnaną została z dykcyonarza komplimentów.

Właśnie przyprowadziła pani salonu Józefa Komorowskiego, by nam co przeczytał—a czytał prześlicznie. Na stole kilkanaście leżało książek, pomiędzy temi i Mickiewicz. Komorowski podjął tom

jeden—usiadł—przerzucił stronice—a w salonie zrobiło się cicho, jakby w świątyni milczenia.

Czytał nam: „Ugolina". Nie deklamował—czytał tylko, lecz każdy wyraz padał, jakoby dźwięk srebrny, jakgdyby posypały się perły, perły przepiękne, dźwięcznej po nad wszystko mowy ojczystej! Głos piękny, wymowa wyrazista, głębokie zrozumienie wielkiego, wieszcza — uobecniły nam ten obraz pełen zgrozy, srogie męczarnie, katusze piekła i śmierć,że aż dreszcz przejmował.

Komorowski czytać skończył—a milczenie, silnem wywołane wrażeniem, przez długą jeszcze potrwało chwilę.

W parę dni potem spotkałam na ulicy szanownego profesora Dominika Szulca. Uśmiechał się już z daleka. Powitaliśmy się—i zagadał:

— Przeczytałem wczoraj pani „Młynarczankę z Czarnopola", pospołu z przyjacielem S.—i...

— Tylko pan profesor nie chwal!—przerwałam mu zaraz—bo będą wierzyła, że żartujesz. Przeczytałam gdzieś niedawno: „*Le pouvoir croit tout, quand on le flatte*". A cóż dopiero my wątłe, słabiutkie!

— No, no, to już nic nie powiem. Ale jutro przyniosę pani coś do przeczytania.

— Proszę!

Przyszedł nazajutrz—i przyniósł mi streszczony wykład systemu i teoryi S. Simon'a—Fourrier'a i Owen'a.

Przez dwa lata nie bywałam na poniedziałkowych wieczorach, gdy mąż mój był więzionym, rok jeden w cytadeli warszawskiej, a drugi w Zamościu, gdziem go odwiedzała i przez pół roku mieszkała. W tym czasie zatem na żadne nie uczęszczałam zebrania. Ale pozostało mi z owych chwil smutnych i pełnych trwogi błogie wspomnienie doznanej przyjaźni i współudziału. Bo w takich niedolach Warszawa szlachetnem celuje uczuciem.—Nie o tem wszelako teraz mówić będę.

Dnia jednego w południe, szłam panią Łuszczewską odwiedzić. W drodze spotkałam Józefa Korzeniowskiego, sławnego dramaturga naszego i powieściopisarza. Wita serdecznie i pyta:

— A dokąd to pani wędrujesz?

— Do pani Niny.

— Idź pani, Idź! Ja właśnie ztamtąd wychodzę. A czy wiesz, jakiego to głupstwa narobili znowu?

— Kto taki?

— Próżniaki, paplarze, nowiniarze, kłamcy!— uniósł się gniewem.

— To i cóż się stało?

— Rozpuścili bajkę, że poniedziałkowe wieczory zakazane zostały. Sami jakoby złe wywołać chcieli!

— Ale zkądżeż to powstać mogło?

— Może ktoś chciał nowinę interesującą powiedzieć, skłamał dla nadania sobie pewnej wagi, a *może... Ah!* — ścisnął mi rękę. — Idź pani! idź.

Rozstaliśmy się.

Panią Łuszczewską zastałem w jej buduarze.

— Pani już słyszałaś, co nas spotkało? zapytała zaraz.

— W tej chwili właśnie, od pana Korzeniowskiego.

Usiadłyśmy na kozetce.

— Rozpuścili wieść, że książe poniedziałków zakazał,—zaczęła—i wieść ta piorunem rozbiegła się zaraz. Więc też w przeszły poniedziałek było tutaj zatrzęsienie osób, „*un monde fou*"! I każdy pytał, każdy okazywał współczucie. Chcąc przeto od razu strącić tę bajkę, ażeby czegoś nie wywołała, jak to bywa nieraz, musiałam do zamku z wizytą pojechać. Bywam tam tylko z powinszowaniem Nowego roku. Mąż mój ma trzy urzędy, więc tej formy dopilnować potrzeba. Pojechałam zatem. Przyjęto mnie bardzo uprzejmie. Książe w dobrym humorze zagadał: że ta wizyta moja istnym białym jest krukiem. Odpowiedziałam, że w ogóle nigdzie nie bywam, na żadnych wystawnych i licznych zebraniach.—„Tak, tak" — odrzekł — „bo panią absorbują całkiem poniedziałkowe wieczory.—I cóż tam robicie?"—„Bawimy się".—„Czytacie, deklamujecie, brzmi fortepian, śpiewacie. No, no, zawitam i ja kiedy niespodzianie także, ale wprzódy nauczę się po polsku."—Pokłoniłam się naturalnie. A potem odjechałam.

Rzecz więc cała ubiła się szczęśliwie i gadanina ustała zaraz.

W zimie roku 1851 — za powrotem z niewoli *zamoyskiej*—bywaliśmy znowu na poniedziałkowych

wieczorach. Zaszło zmian kilka: jedni umarli, jak nieodżałowanej pamięci J. D. Minasowicz. Inni chleb gorzki tułaczy jedli, jak Teofil Lenartowicz. Skimborowicz siedział w Zamościu. A inni jeszcze byli na Kaukazie albo w Sybirze.

Przybyli wszelako i nowi goście i koryfeusze —pomiędzy tymi Henryk Rzewuski, autor „Soplicy, Mięszanin Bejły—Listopada—Zamku krakowskiego" i t. d. i t. d. Romuald Drucki-Podbereski, Litwin redaktor „Pamiętnika naukowo-literackiego" i t. d.

Ukazywała się także już w salonie panna Jadwiga, dodając wdzięku zebraniom. I bywała pani Kazimiera Komierowska—Jolanta.

Pan Henryk Rzewuski siadał sobie zwykle na uboczu—i okoliła go niebawem liczna mężczyzn gromadka. Opowiadał im anegdotki przeróżne—żarty—dowcipy, których wszelako powtórzyć nie mogli, tak były wolne.

Raz swąd jakiś dał się uczuć w salonie.

— Czad, czad wyraźnie—wymówił Rzewuski powstając. Przystąpił do pieca i rurę otworzył, przyczem sobie jasną zczernił rękawiczkę.

— Ha!—zawołał, pokazując rękę—*„je me suis sacrifié pour le bien public"*!

— *„Vous l'auriez pu faire, sans vous salir"*! ozwał się E. Knoll, Wołynianin.

Pan Henryk nic nie odpowiedział. Usiadł opodal, począł mówić o czadzie, swędzie—dzisiejszych lampach — i świecach stearynowych, które potępiał.

— Niemasz to jak światło łojowe—prawił dalej—*póki młodzież* swoje naukowe studya odbywała *przy świeczkach* łojowych, to i nauczyła się więc-

cej: ludzie byli mędrsi i światlejsi. Znać, ot, kopeć łojowy zbawiennie na mózgi wpływał. Bo stearyna czcze daje światło, a płomyk bledszy, chłodniejszy od kochanej łojówki. Zdaje się nawet, że i duchy pozaświatowe, pozagrobowe, przestające z nami, ziemianami, choćby pośrednio tylko, także więcej w łojowem lubują się świetle. I tak, pamiętam, pisałem raz jakąś arcy-uczoną rozprawę, przy łojówce z grubym knotem, wielki wydającą płomień, a za tem i kopeć. Godzina już była późna. Znużony nielitościwie, zawisłem na krześle i padłem w objęcie Morfeusza. Zasnąłem smacznie, głęboko. Gdym się ocknął—zbudzony wrzaskiem przekupki po za oknem, dzień już na wpół był jasny. Łojówka żgliła się jeszcze—i sterczał knot długi, przepalony, czerniawy. Powstałem, przeciągnąłem się, ziewając i chwytam za skrypt leżący na stole. A tam?.. O dziwy! Państwo nie zechcecie uwierzyć... Rozprawa uczona była dokończona nie moją ręką!—Dokonał dzieła tego znać duch jakiś uczony, kopciem kochanej przynęcony łojówki!

Pośmieli się słuchacze. Gdy w tem ktoś powiedział:

— „Schulhof" grać będzie!

Rzewuski powstał i do swojego wrócił kącika.

— „*Les délices de la campagne*" — wymówił mistrz, siadając przy fortepianie.

Urocza powiała melodya—powiała, bo istotnie jakgdyby lekki podmuch klawiaturę poruszył, tak dziwnie delikatnem czarował dotknięciem: była to śliczna idylla muzyczna.

Przymknęłam powieki i przed rozbujałą fan-

tazyą przeciągnęły wdzięczne sioła, chatki wśród ogrodów, rolni pracownicy, pasące się trzody, zielone smugi, ciemne lasy, modre jeziora, łąki kwieciem zasłane, zbożem pokryte pola—wszystko w złotawy promień przed-zachodniego ujęte słońca. Gdy zdala dźwięk melodyjny dzwonu wieczornego po rosie nadpływał... Zaprawdę, że gra Schulhofa sielanką była na fortepianie.

Skończył—i szmer w około, w głośne przemienił się oklaski. Melodya Schulhofa nierównie głębsze w salonie sprawiała wrażenie, aniżeli na wielkiej sali koncertowej, bo zbyt delikatnem było cieniowanie jego gry prześlicznej!

— Komorowski „Spowiedź" moją będzie czytał—szepnął mi przyjazny nam poeta, którego nazwiska wszelako, bez jego zezwolenia tutaj nie wymieniam.

Znałam ten poemat. Przeczytał mi go jeszcze przed wyjazdem moim na mieszkanie do Zamościa i zawołałam wtedy, silnem przejęta wrażeniem: —„Piękne! O jakżeż piękne!"—A powtórzył to za mną i gość obecny, z sądem wyrobionym.

Była to spowiedź Żyda—który głęboko i gorzko swoją czuje niedolę, jako „paria", wpośród chrześciańskiej społeczności. I zawierał nieco drażliwy ustęp.

Komorowski usiadł na środku salonu. A było wtedy wiele, bardzo wiele osób. Wszystko przycichło od razu—że przypomniało się wyrzeczenie dawne: Jak gdyby makiem zasiał.

Zaczął czytać pięknie, wyraziście, dźwięcznie,

jak zawsze. Uwaga była do najwyższego podnieconą stopnia. W tem przychodzi ów ustęp wspomniany:

Czyż całe życie zasług nie zdołało
Miłości od was braterskiej wyprosić?
Czyż było jeszcze poświęceń nie dosyć?
Czyż było jeszcze chrztów krwawych za mało?
Czyż pamięć zasług naszych w poniewierce?
Czyśmy praw naszych nie dowiedli w czynie?
Czyliż nie polska krew nam w żyłach płynie?
Czyliż nie polskie w piersi bije serce?
Niech myśl przeszłości zawiść w sercu zgasi,
Niech pamięć zasług dawny przesąd zaćmi,
Niech ci, co sercem byli bracia wasi,
Słowem i czynem zostaną się braćmi!
A może szczep ten nowego plemienia,
Pięknej przyszłości rokuje nadzieje.
Młodemi listki doda drzewu cienia
I w pień ów stary nowe życie wleje.

Opodal stał Aleksander Tyszyński—i spojrzeliśmy na siebie.—Cisza ogólna zdwoiła się jeszcze.

Komorowski umilkł, cisza przez chwilę potrwała.—Potem szmer powstał. Towarzystwo rozdzieliło się znowu — i różne dalej pociągnęły się rozmowy. Ale znać nie o „Spowiedzi".

— Rzeczywiście piękne — szepnął mi, przysiadając się, pan Józef Korzeniowski — poezya piękna, uniesienie gorące, uczucie prawdy, ale bez prawdy faktów.

I nie mogłam tej uwadze zaprzeczyć. Dziś wszelako, wyznać należy, że poeta, gdy tworzył „Spowiedź", tchnął duchem proroczym. Wtedy nie było tam jeszcze prawdy faktów, ale po latach 1861 i 1862—gdy Żydzi na ulicach Warszawy podnosili

zdruzgotane przez żołdactwo krzyże z Chrystusem —gdy z świętemi ułamkami klękali, i ginęli pod kolbami... — wtedy sprawdzały się słowa poety.— Była to wszakże chwila tak wielka, jakiej nam żadna karta historyi nie dała dotąd. A może raczej przepowiednią wyższego, prawdziwego pojednania i jedności — w duchu miłości chrześcijańskiej i bliźniego—jakich, oby Polska błogosławione dała przykłady.

W kilka tygodni później musieliśmy na rozkaz wszechpotężny pożegnać Warszawę i kongresowe królestwo— z goryczą, tęsknotą i bólem. Współczucie dla nas było ogólne—i dzięki, Wam Wszystkim, za to!

Pani Nina Łuszczewska napisała w Albumie moim

PRZEZNACZENIE KOBIETY.
„Kochać w milczeniu,
Mówić w spojrzeniu,
Cierpieć w westchnieniu,
Żyć w poświęceniu".

PRZEZNACZENIE MĘŻCZYZNY:
„Mądrości berło piastować,
Ludzkość miłością owionąć,
Potęgą czynu panować,
A duszą w Bogu zatonąć".

W zimie roku 1855 odwiedziłam Warszawę; pośpieszyłam na poniedziałkowe zebrania, sławniejsze wtedy jeszcze, bo je uświetniały improwizacye *Deotymy*. *Lecz byłam* sama, bo już wdową.

Zebrania bywały nadzwyczaj liczne. Salon, literalnie mówiąc, był przepełniony. Obecność wielu rodzin zamożnych, z Ukrainy, Litwy, Wołynia, Podola, nadzwyczaj ożywiała towarzyskie życie Warszawy. Na wschodzie krwawe toczyły się walki. Na Ukrainie lud powstał, powstał przeciw rządowi, nawet i przeciw schizmie, a dla obywatelstwa pdwójnie niebezpiecznie było tam powracać. W okolicy Białocerkwi zebrane tłumy liczono na dziesięć tysięcy, i wysłano na nie wojska z Kijowa.

Na pierwszym zaraz poniedziałkowym wieczorze miałam nieokreśloną przyjemność posłyszenia improwizacyi.

W pośród rozmów ożywionych, wesołych, półgłośnych, powstał ruch nagły, i podawano sobie: „Improwizacya!"

Zasiadło przy bliższym stoliku czterech stenografów, pomiędzy tymi sam pan Wacław Łuszczewski. Wszystko było w oczekiwaniu.

— Zadano Przeczucie — szepnął mi zcicha Władysław Kazimierz Wójcicki, redaktor „Biblioteki Warszawskiej", autor „Historyi literatury polskiej", „Klechd, Gawęd" i t. d.

Deotyma stanęła na środku. Cała w białym kaszmirze, z włosami z tyłu głowy podwiniętemi, jak na Kaniewskiego obrazie. Wkoło niej małą tylko, próżną zostawiono przestrzeń. Jednę połowę salonu przeważnie zajęły panie. Drugą panowie, którzy niby mur utworzyli. Cisza zaległa, nikt odetchnąć nie śmiał. Wieszczka stała, jakgdyby duchem odbiegła ziemię, jakgdyby z nami nie była wcale; *jakby pogrążona* w śnie somnambulicznym. Takie

na mnie uczyniła wrażenie, a silne bardzo. Stałam, wsparta na krawędzi krzesła, bom dosiedzieć nie mogła. Objęłam ją wzrokiem, życzeniem, przejęciem się całem, że aż tchu niby zabrakło.

Zaczęła mówić.

Sympatyczne rysy nieokreślony przysłonił wyraz: natchnienie. Lica jej były nieco przybladłe. Oczy to wznosiła, to spuściła znowu. Rękę, jakby utoczoną, na której lekki, szeroki zwieszał się rękaw, podnosiła czasami. Niekiedy pierś uczucie wzdęło silniejsze, ale cała postać i rysy posągowy zachowały spokój. Mówiła z początku wolniej, ciszej, potem nieco szybciej, głosem podniesionym.

A słowa z ust jej płynęły, jak gdyby sama nie wiedziała o nich i zapamiętałam na zawsze pełne myśli wyrazy:

Przeczucie—światów ogniwem;

Przeczucie—mędrców podziwem;

Przeczucie—kluczem poety;

Przeczucie—skarbem kobiety.

Gdy skończyła, wrzawa otoczyła poetkę. Pochwały głównie w języku francuskim sypano. Ale posłyszano i szczero-polskie słowa.

— I cóż pani powiesz?—zapytał mnie p. Henryk Lewestam.

— Doznałam nadzwyczaj silnego wrażenia — odrzekłam—że i prawie oprzytomnieć nie mogę.

— Bardzo wierzę. Jestem mężczyzną silnym, nieskorym do wrażeń, chłodnym, a wszelako czułem się dziwnie przejęty, aż niby nerwowy, po *pierwszej posłyszanej* improwizacyi.

Pani Nina Łuszczewska wychodziła podobno

zawsze w czasie improwizacyi córki do drugiego pokoju. A łatwo to uczucie matki zrozumieć.

Usiadłam obok dwóch młodych Ukrainek. Z jedną, panią Heleną M., wiązały mnie przyjazne stosunki już z lat dawniejszych. Znała dobrze muzykę, grała pięknie na fortepianie, bo i Schulhof nadał był sankcyę jej artyzmowi; ale nigdy, przez wrodzoną skromność i nieśmiałość, nie chciała publicznie wystąpić. Prosiliśmy ją znowu—odmówiła.

Ukrainki nieokreślony mają urok w postawie całej, w wyrazie twarzy, w głosie i mowie. Przytem ujmujący wdzięk prostoty, a szczególniej łagodne obejście. Wołynianki są więcej światowe, w innym rodzaju powabne, uprzejme, rozumne, więcej *grandes dames*, i z pewną dozą próżności niekiedy. Podolanki do Ukrainek podobne, piękne i miłe, ale Ukrainki, zdaje mi się, więcej mają poezyi. Znać im tę cechę kraj ich nadaje, kraj podaniami poetyckiemi i smętnemi przewiany dumami. Litwinki nieskończona oznacza serdeczność. Egzaltowane niby to często, ale ta egzaltacya pociąga, zjednywa sympatyę i wdzięku dodaje, bo jest szczerą, bez przesady. Litwę całą duszą kochają, i wszystko, co się zwie litewskiem. O sobie zwykły wyrażać się, śpiewną swoją mową: „My, proste, poczciwe Litwaszki obłudy nie znamy!" I też zaprawdę, że Litwa poczciwa! Bodaj która ziemia polska tyle przechowała cnót dawnych, co Litwa, tyle czystości obyczajów! Bo trudniej do pierwiastkowej, poczciwej prostoty Litwy przylegają zagraniczne przywary i narowy. A dodajmy jeszcze: Litwa tem wyróżnia się święta, bo kocha i uczcić umie proro-

ków swoich. Nie do Litwy może być zastosowanem przysłowie: „Nikt nie jest we własnym kraju prorokiem!" Bo dla Litwy Adamy, Szymony, Tomasze, są prawdziwymi wieszczami narodu i cześć uroczystą przechowują tam dla nich. A uchowaj Boże, by kto na Syrokomlę co powiedział!

Ale wróćmy na wieczór poniedziałkowy. Mówiłam z mojemi dwiema Ukrainkami o posłyszanej tylko co improwizacyi. Orzeczenie przeczucia szczególniej do marzącego usposobienia pani Heleny trafiło. Uważałyśmy także, iż niektóre salonowo-pochwalne frazesy, które o nasze obiły się uszy, były, ot, tak sobie rzucone, że nawet i pewnym dysonansem trąciły.

Pani Ewelina K., druga Ukrainka, z talentem malarskim, opowiadała mi, że dnia wczorajszego gdy w małem kółku zajmowały się wirującą ekierką, zapytała pani Helena o swoją charakterystykę, i odpowiedź arcy-trafna wypadła:

„Prosta jak gołąb, jak dziecię niewinna,
Nie ma tej siły, którą mieć powinna"

Wirujące stoliki, ekierki i t. p., były wtedy na porządku dziennym w Warszawie.

Przysiadł się do nas pan Kazimierz i rozmowa przeszła znowu na pole improwizacyi, pod której wrażeniem zostawałem ciągle. Mówił o liście otwartym do mnie Antoniego Marcinkowskiego, Gryfa, w „Gazecie Warszawskiej" (do autorki „Wawrzyny"), w którym kijowski estetyk nader wysoko im*prowizacye Deotymy* ocenił, a potem zagadał:

— *Niemasz tu dziś* jednego z najgorliwszych

dawniej czcicieli naszej improwizatorki, a obecnie antagonisty.

— Pana Wacława Szymanowskiego?

— Tak jest.

— Ale dlaczegóż stał się antagonistą? Poeta, człowiek z sercem!

— Dlaczego?! Alboż ja wiem. Pamiętam przed dwoma laty, było to przy herbacie u pani P. Mówiono o improwizacyach. Pan Wacław był entuzyazmowany. Ktoś tam z nim niezupełnie się zgadzał. A pan Wacław w gwałtownem uniesieniu, uderzywszy szklanką w stół, o mało, że nas wszystkich nie obryzgał ukropem, bo szklanka roztrzaskała się w kawałki, a powódź serwetę zmoczyła. Roześmiałem się. Alem nie przypuszczał wszelako, że ów gorący entuzyazm tak rychło przemieni się w antagonizm. Otóż, niestety! wszystko zmianie na ziemi podlega! *Veränderung ist Naturgesetz* — wyrzekł któryś z myślicieli niemieckich.

Na jednym z następnych poniedziałków posłyszałam i drugą improwizacyę. A jeżeli był kto z obecnych niewierzący, że to jest inspiracya jednej niemal chwili, tylko przysposobienie poprzednie, popowinien był ze swojego zwątpienia uleczyć się wtedy.

Deotyma wystąpiła, nie mając jeszcze zadanego wyrazu.

— Podaj pani słowo jakie—zagadał do mnie pan *Leon Łubieński*.

Już chciałam wymówić liczbę siedem, jako kabalistyczną, gdy wtem ktoś—Dzwon—wyrzekł:

Wieszczka chwilowo pochyliła czoło, i myśl głębsza przysłoniła je widomie. Wtem, nie wiedząc pewnie o Dzwonie, bo nieco dalej siedziała, szepnęła piękna księżniczka, Helena Sanguszkówna, Serce. I wyraz ten uszów improwizatorki doleciał.

Z myślą o Dzwonie przeniosła się na Wawel:

„Słuchając w zachwycie,
Jak z chmury tęsknoty,
Westchnienia i grzmoty,
Rozesłał Dzwon złoty.
Zacichł zwolna". —

Wieszczka doń przemawia:

„O dzwonie!
W kruszcowem twem łonie,
Zkąd moc ta kojąca,
Co strunę serc trąca?
Co serca przytrzyma,
Jak łódkę kotwica?
Co serca zachwyca,
Jak powrót pielgrzyma?

Ni struna lutnisty,
Ni trąba burzliwa,
Ni harfy płacz szklisty
Tych wrażeń nie budzi.
— Sam tylko głos ludzi
Zarówno porywa".

Gdy zcichłam nieśmiało,
Pierś dźwięknła śpiżowa;
A *mnie* się wydało,
Że słyszę te słowa:

„Głos ludzki od serca moc bierze tajemnie;
„Ja śpiewam jak człowiek, bo serce jest we mnie.
„Choć myśl się zabłąka w szaleństwa bezdrożu,
„Jej brak nie zabija: szalony żyć może!
„Lecz jeśli na chwilę ustanie serc bicie,
„Ta chwila ostatnia — bo w sercu jest życie!
„A człowiek jest sercem przyrody —
„A Bóstwo jest sercem wszechświata“...

I otóż myśl wyraźniej i głównie skierowała do zadanego jej później wyrazu serce.

Widzi w pięknym obrazie, jak posłowie zdumieni z modrzewiowego wychodzą dworku—gdy ich Leszek-dziecię, temi żegna słowy.

„Mym tronem serce Goworka“!

Dzwon rozbujał się znowu. Ucichł—i wieszczka mówi dalej:

„Spostrzegam postać granitową,
„Która w katedrze z grobu wstając, łzawo
To jedno wyrzekła słowo:
„„Barbaro““!...

Bo serce Zygmunta—miłość jego dla Barbary, pozostanie na zawsze idealnym dla poety przedmiotem.

Dzwon znów się rozbujał:

„Gdy czucie kojarzy
„Ramiona narodów i stopnie ołtarzy,
„Natenczas się zowie radosną ofiarą“.

Dzwon umilkł. A poetka jawi nam przepiękną, białą postać, królewskiej Jadwigi.

„Łuna biała
„Przewionęła nad dzwonnicą.
„Może mgła?... lecz mnie się zdała
„Wilhelma oblubienicą".
Dwa anioły zachwycone,
Jak kolosy przy niej błysły:
Jeden jej podał koronę —
I dźwignęła ją na skronie.
A gdy ją drugi w pogoni
Pochwycił drżącą i zbladłą,
Imię: Polska! z ust jej padło —
I łzy rzuciła do Wisły".

Cicho—cichuteńko było w około, że byłoby można upadające piórko posłyszeć. Ale gdy wieszczka wymówiła: Polska! wśród przybitej Warszawy, gdy mówiła o całopaleniu, ofierze królowej-dziewicy z uczuć swoich najdroższych dla kraju, którego stała się matką i opiekuńczym aniołem—niby odrazu wszystkich obecnych uderzyły serca i poniosły w górę szmer żalu i modlitwę.

Poetka tak zakończyła:

„Choć dzwon nie myśli, choć dzwon nie działa,
„Jemu jednemu ludzkość nabożna
„Chrztu dozwoliła—bo przeczuwała:
„Że samem sercem zbawić się można [1]).

W tem więc zakończeniu połączyła obydwa zadane sobie wyrazy.

Poniedziałek ten zgromadził poniekąd wszyst-

---

[1]) Improwizacya „Dzwon" umieszczoną była w Sobótce *z mojego Albumu.*

ko, co najrozumniejsze, najzacniejsze i najpiękniejsze było w Warszawie. Najpiękniejsze, bo z różnych stron kraju polskiego przybyłe dziewice, niby kwietnią w salonie kładały wiązanką. Były pomiędzy niemi i dwie panny Chłapowskie z Poznańskiego, jednające sobie wdziękiem urody i powabem wychowania zajęcie ogólne. Obie—dwa następnie anioły w sukienkach zakonnych—dziś już pożegnały ziemię.

Zacna ich matka, siadając przy mnie, szepnęła mi:

— Pokaż mi pani Henryka Rzewuskiego, ciekawam go poznać. Ale mi go nie przedstawiaj!

Po chwili zrobił się ruch w salonie. Pan Henryk swój zwykły opuścił kącik. Przeszedł się zwolna, przystanął, zagadał do jednego, do drugiego. Zbliżył się ku nam—jakby przeczuciem wiedziony—i znowu przystanął. Wskazałam go pani Chłapowskiej. Ścisnęła mi rękę. Autor Listopada usiadł opodal i opowiadał jakąś anegdotkę, której sens moralny był: że kobiety tajemnicy dochować nie umieją, a nadto jeszcze nietylko, że powtórzą zaraz co im powiedziano, ale przesadzą i skoloryzują inaczej.

Spojrzał ku nam. Milczałyśmy. Potem przytoczył coś tam jeszcze na stwierdzenie tego, co był wyrzekł, ale już nie pomnę szczegółów.

Pan Henryk Rzewuski, trzeba przyznać, gdziekolwiek był, umiał towarzystwo ożywić. Mówił wiele, mówił głośno—a każde opowiadanie było okraszone dowcipem. Raził wprawdzie często niejednem, ale był ostrożnym i tylko w małych kółkach po-

zwalał sobie więcej. Także i pod względem konserwatyzmu swojego—wsteczności—idei nam wstrętnej, dość był oględnym, bo i zaraz na skorych a gorliwych trafiał oponentów. A wtedy nie upierał się bezwzględnie przy zdaniu swojem i objawionych zasadach.

Po śmierci cesarza Mikołaja rozpuszczono wieść po Warszawie, że na poniedziałkowe wieczory będzie potrzeba przychodzić w żałobie. Była to czysta baśń znowu!

Osoby, należące do dworu i u dworu bywające, mają ten obowiązek. A zresztą, zależało to od dobrej woli poddańczej. Bywały wszelako i osoby, które przez próżność ubierały się żałobnie, jakgdyby je niby to ich wysoka pozycya do tego zmuszała. A zwracały tem jedynie uwagę śmieszności, ile, że warszawska publiczność łatwo każdą zdrożność spostrzega i notuje.

Byłam w żałobie po matce mojej. Idąc w tym czasie przez Krakowskie Przedmieście i rozmawiając z towarzyszką moją, posłyszałam za sobą wyrazy:

— Polka i w żałobie!

— W żałobie, ale po matce!—odrzekłam, obracając się nagle.

— Przepraszam!... Przepraszam!—odpowiedziano. Nieznajoma pani ścisnęła mi rękę, i rozśmiałyśmy się obie.

Jedna z Polek, żona dygnitarza, pani Płatonow, z domu Nowakowska, córka szambelana króla *Stanisława Augusta*, szczerego patryoty, winna była *wizytę generałowej* rosyjskiej Rydygier i z obowiązku

ubrała się czarno, jak kruk, z przynależnym przyborem krepy. Przyjęta, wchodzi i zastaje generałową bielutką jak gołąbkę. Pomięszana, aż się cofnęła, własnym nie dowierzając oczom. Generałowa spostrzega to zdziwienie, i uderzającą różnicę swojego ubrania i wizytującej ją pani. Więc też tłomaczy jej zaraz: była to rocznica dnia wielkiego, w którym sprzymierzeńcy ongi do Paryża weszli, cała zatem Rosya obchodzi to święto, i w dniu tym, jako dniu wesela, zarządzono zdjęcie żałoby. Polka, lubo żona Rosyanina, nie wiedziała o tem.

W najpierwszy poniedziałek po onej wielkiej katastrofie, zebrali się wszyscy u pp. Łuszczewskich, jak zwykle. Panie w kolorach. Ale zaprawdę, że wszystko pod jakiemś dziwnem zostawało wrażeniem, dumającem, że się tak wyrażę. Zdawało się, że można było odetchnąć wolniej, a jednakże coś ciężyło, trwożyło.

Usiadł przy mnie pan Ignacy Badeni, znajomy z dawniejszych czasów i nieraz gość w naszym domu.

— Jakiż nagły, niespodziany wypadek, zagadał, ta śmierć!...

— Kolos runął!... wymówiłam—tak, jak inni śmiertelnicy!

— Kolos runął! I w tem runięciu przygniótł niejedno, czego dziś jeszcze i odgadnąć niepodobna.

— I wojna na wschodzie teraz skończy się rychło, szepnął za krzesłem mojem stojący Juljan Bartoszewicz, i nadzieje nasze, które już... już promieniem błogim wytrysnąć miały, by z morza Czarnego *jasnem* dla nas wzejść słońcem.

— Kolos runął!—powtórzyła jeszcze obok siedząca księżna* — a smutna pozostała wdowa! Zawsze to ostateczne sieroctwo, chociaż i w koronie cesarskiej.

— Wdowa!—ciężkie stłumiłam westchnienie własnem wywołane sieroctwem:

„Bo jak we łzach się zlewa żal wszelkich żałości,
Tak w tem słowie leżała bolesna wymowa".

Właśnie H. Rzewuski, usiadł opodal i począł opowiadać:

— Był w Petersburgu wysoki dygnitarz, a miał ubogiego kuzyna, którego było potrzeba forytować w świecie. I otóż dnia jednego przedstawił cesarzowi pokorną prośbę, ażeby najłaskawiej temuż kuzynowi rozkazał wydać nominacyą na dyrektora lasów rządowych, położonych w gubernii... nie pomnę w której, lecz dalekiej, dalekiej od Petersbuga. Złożył obok dowody wysokich zdolności kuzyna, nauki, charakteru i czego tylko było potrzeba. Prośba upragniony otrzymała skutek, i kuzyn ów, uznanych zdolności i zasług, otrzymawszy nominacyę, z pensyą pięciu tysięcy rubli rocznie, pożegnał protektorów swoich i przyjaciół wielkim, wystawnym obiadem. Upłynęło lat kilka, a może i kilkánaście, inny, również wysoki dygnitarz, także znowu miał kuzyna, potrzebującego donośnej posady. Myślał więc nad tem, myślał, aż przypomniał sobie owego dyrektora lasów rządowych w gubernii... nie pamiętam! Dygnitarz wszelako spamiętał dobrze i wzięła go chętka wysadzenia tamtego, a umieszczenia *nowego, w osobie* swojego kuzyna. Przeto ukutą została *denuncyacya* wielka, we wszelkie opatrzona

formalności: że obecny dyrektor dopuścił się srogich nadużyć, defraudacyi przewielkich; że przez niedbalstwo i niedozór z góry, a niesumienność zaprzedanych dyrektorowi podwładnych, lasy popadły w stan strasznego zniszczenia i t. p. Wyznaczoną więc została komisya do sprawdzenia na miejscu wszystkiego. Tego ów drugi dygnitarz nie przewidział dostatecznie, że śledztwo miało się odbyć na miejscu, i nagłe ztąd, a wielkie zamieszanie powstało. Bo wypłynęło na jaw, że takie lasy rządowe** w gubernii onej nie istniały wcale; że ów urząd dyrektora był tylko udanym, i że ów dyrektor mianowany łaską cesarską, pobierający pięć tysięcy rubli rocznej pensyi, nawet i z Petersburga nie wyjechał wcale! Niechcąc zatem przejechać się na Sybir, dygnitarz-oszust, wraz ze swoim kuzynem dyrektorem, i dygnitarz fałszywy denuncyant, podali sobie pojednawczo dłonie, i sprawa cała szczęśliwie zawartą została, dopóki nowy nie wystąpi denuncyant, który obudwóch oskarży.

Opowiadanie wszystkich zabawiło. Czyniono różne uwagi.

Pan Henryk powstał, przeszedł przez salon, i usiadł na uboczu, gdzie począł opowiadać dykteryjki, nie dla wszystkich uszów właściwe.

Po chwili rozmowy umilkły, bo dała się słyszeć panna Zofia Malhomme, a grała cudownie kompozycye Chopina.

Gdy umilkł fortepian, gwarne rozmowy znowu zapełniły salon. Po chwili wniesiono cygara. Panie, nie znoszące ich dymu, wyszły, lecz pozostało zawsze *jeszcze* kilkanaście. A pomiędzy temi i woje-

wodzina Wodzyńska, siostra gospodarza domu, jedna z najprzyjemniejszych i najzacniejszych Polek, serdecznie swoją kochająca rodzinę.

Na drugim końcu salonu spostrzegłam pannę Śmigielską, dzisiejszą Dobieszewską. Więc powstałam, ażeby pójść do niej, gdy mi zaszedł drogę p. Józef Ćwierczakiewicz i uśmiechając się, zagadał:

— Rzewuski jest dziś w humorze szczególniej dowcipnym, wcale nieżałobnym, czyli też może żałobnym po swojemu. Mówił tam właśnie o kobietach: škreślił charakterystykę Moskiewek, Niemek, Francuzek, Hiszpanek, czego jednakże niepodobna powtórzyć. O Polkach wyrzekł, że się najczęściej kompromitują gratis.

Dalej opowiadał dowcip Rzewuskiego, czyli igraszkę słów, satyryczną, a gorżką co do nazwiska jednego z Polaków, który względem własnej zgrzeszył narodowości.

Stojący opodal pan Leon Łubieński, posłyszał nazwisko i dorzucił półgłośno:

— Tak, niestety! Są ludzie, którzy słyszą jak trawa rośnie, a pan ten nie dosłyszy nawet, jak tuż obok rosną konopie.

— Autor „Mięszanin Bejły", karcić poczyna! dodał jeszcze Ćwierczakiewicz.

Usiadłam przy J. Śmigielskiej i Julii Janiszewskiej.

A po chwili zbliżył się p. L. Łubieński i szepnął mi:

— Rzewuski powiedział tam właśnie: że gdy *on włoży kontusz,* czerwone buty i białą konfede-

ratkę, to wtedy Polska będzie wolną. I wierzymy wszyscy w tę przepowiednię.

Nie wiem, czyli to istotnie powiedział Henryk Rzewuski, czyli też zażartował pan Leon. Gadka ta upowszechniła się jednakże i spamiętano ją.

W roku 1863 byłam w Salzbrunnie. Przybył tam właśnie pan P. M. z Drezna, i opowiadał:

— Widziałem Henryka Rzewuskiego w polskim stroju. Więc powinna sprawdzić się przepowiednia, że Polska obecnie wolność odzyska.

W końcu maja pożegnałam Warszawę. Deotyma napisała mi w książce pamiątek moich:

„Wpływ kobiety roznieca w życiu towarzyskiem
Przewodnie gwiazdy uczuć i sztuk pięknych zorze.
Kobieta więc najsilniej czuć i kreślić może
Powieść—co jest uczucia i sztuki ogniskiem".

Dzień 2-go Marca.

W lutym r. 1855 o niczem nie mówiono w Warszawie, jak o wojnie z Austryą — i zdawało się, że armia rakuzka lada dzień granicę Królestwa Polskiego przekroczy. Już był nadszedł rozkaz wywiezienia kas i archiwów do Kijowa, dokąd także i senat miał się udać niezwłocznie. Słyszałam to z ust sędziwego senatora *, któremu ciężko przychodziło opuścić rodzimą Warszawę i domowe wygody, a pójść jakoby na wygnanie. I któż mógł przewidzieć, na jak długo?!

Dnia jednego rozpoczęto nagłą przewózkę wszelkich przyborów wojskowych na Pragę, do czego nawet koni dorożkarskich użyto, że i trudno było o dorożkę przez parę dni. Mówiono, że wojsko całe wyjdzie na prawy brzeg Wisły, a pozostanie tylko żandarmerya, dla utrzymania porządku w mieście i jako straż tylna.

Jest także charakterystycznem, że w rodzinach

rosyjskich dzieci straszono Austryakiem, jakby ko miniarzem.

Książę Paszkiewicz wrócił z Petersburga, a dobrze poinformowani wiedzieli, że przywiózł ze sobą rozkaz uwłaszczenia chłopów.

— To, czegośmy pragnęli oddawna, a napróżno, będzie w obecnych okolicznościach jako broń dotkliwa przeciw nam użyta! — słyszałam obywateli rozumujących i lękających się groźnych następstw.

Bóg dobry zrządził inaczej.

Dnia drugiego marca było nas dość liczne grono u pani * na herbacie. Nikt nic nie słyszał, że cesarz jest chory. Wtem przybywa pani ** i opowiada:

— Coś dzieje się dziwnego. Generał Igelström, który ze mną w jednym mieszka domu, jeździł trzy czy cztery razy do zamku, przez księcia wezwany. Za każdą razą z chmurniejszą powracał twarzą i cicho rozmawiał z żoną, jak służba rozpowiadała po domu. Przybywali do niego wyżsi oficerowie i zamykał się z nimi w osobnym pokoju. A gdy ostatni raz wrócił z zamku, pod wieczór, generałowa rozpłakała się głośno.

— Wielka przegrana na wschodzie.

— Cesarzowa umarła.

— Rewolucya pałacowa...—i tym podobne czyniono domysły.

Wtem nadszedł gość nowy i opowiedział, że kasę teatralną i teatr zamknięto nagle, gdy widzowie już poczęli się schodzić.

— Niezawodnie cesarzowa umarła!

— Mówią, że cesarz...—wyrzekł nowoprzybyły z cicha, boć to groźna była nowina!

— Niepodobna!

— Przecież nie chorował.

— Powozy generałów uganiają po ulicach.

— Wezmę sanki—odezwał się pan Ludwik *— pojadę do Loursa, wbiegnę do resursy, to przecie dowiem się czegoś.

Wyszedł, i niebawem posłyszeliśmy oddalający się dźwięk sanek.

Urywała się rozmowa. Zapomniano o literaturze, o muzyce, bo jedna tylko nas wszystkich myśl zajmowała.

W niespełna trzy kwadranse pan Ludwik powrócił.

— A co?

— Co? co? — pytano skwapliwie.

— Cesarz Mikołaj umarł.

Zdumienie owładnęło wszystkich i przez sekund kilkanaście głuche potrwało milczenie. Poczem ozwały się głosy:

— Żartujesz chyba!

— Niepodobna!

— Nadeszła telegraficzna wiadomość przed trzema godzinami — opowiadał pan Ludwik poważnie—umarł! A poprzednio telegraf po trzy razy przynosił wiadomość, że chory, że bardzo chory, że jest niebezpieczeństwo życia. Ale to wszystko dzisiaj dopiero.

Niektóre twarze rozjaśniły się. Drugie wyraz *szczególnej przysłonił* powagi. Splotły się dłonie,

potrząsano głowami. A inni znowu pełniejszą odetchnęli piersią.

I Polska niby swobodniej odetchnąć mogła!!

Instynktowo, może w niewieściem przeczuciu, które we mnie odezwie się nieraz, zadumałam się trwożnie, za co nazwę pesymistki zyskałam. Gdy raczej kiedyindziej wszystko w różanych, jasnych chwytam kolorach. Łudzić się lubię, łudzić się umiem, łacniej dodatniej dopatrzę się strony, aniżeli ujemnej. A niekiedy nawet i wymarzę ją sobie! Drugiego marca wszelako byłam pesymistką, sama nie wiedząc dlaczego.

Rozprawiano głośno, ochoczo. I wreszcie zdobyłam się na pytanie:

— A cóż będzie teraz z wojną na wschodzie?

— Potrwa dalej! Większe przybierze rozmiary!

— A sprawa nasza pod każdym względem szczęśliwszy weźmie obrót. Aleksander jest człowiek dobry, łagodny, miękkiego serca...

I opowiadano różne rysy z jego życia. Pomiędzy innemi i o pani Michalskiej, której mąż był w kopalniach, za sprawę Szymona Konarskiego. Pojechała biedna do Petersburga, i w rozpaczy rzuciła się z prośbą w ręku pod konie cesarzewicza Aleksandra, następcy tronu, pędzącego faetonem przez ulice. Faeton przez nieszczęśliwą przeleciał. Cesarzewicz wyskoczył, sam skrwawioną, zemdloną podniósł z ziemi, a łzę miał na oku! Odwiózł ją do mieszkania. Przysłał lekarza swojego. Łożył koszta wszelkie... Michalski wszelako dłużej jeszcze na Sybirze *pozostał*.

Pocieszano się nadzieją różną i różnie. Wreszcie i mnie zrobiło się lżej i pogodniej.

Pogadanka żwawo toczyła się dalej. Nie mówiono jednakże już o niczem innem, jak o tej śmierci. Bo i czyliż podobna było mówić o czem innem i myśleć?

Rozeszliśmy się po godzinie pierwszej po północy. Na ulicach było pusto, cicho, tylko śnieg zmarzły pod stopami skrzypiał.

— Twierdzą, że dusza, opuściwszy ciało, błąka się czas pewien wśród świata pokutnie, w miejscach niedopełnionych obowiązków, grzechu, winy, występku, zbrodni...—wymówiłam do pana *, podającego mi rękę.—Zatem duch cesarza Mikołaja snuje się teraz może wśród tego grodu łez i ofiar krwawych... — Spojrzałam na cienie długie, niby ciemne tworzące postacie, pociągana w rozmarzeniu chwilowem fantasmagoryjnem widzeniem.

— Duch jego, zaprawdę, mógłby tutaj pobłąkać... — odrzekł mój towarzysz.

W tem, gdyśmy z ulicy Wareckiej na Nowy-Świat skręcali, nadchodzi oficer rosyjski, wysoki, w szarym płaszczu... stuk jego stopy rozlegał się głuchym odgłosem wśród pustej ulicy.

— Może to on?! — podszepnął pan * z półuśmiechem.

— *Chi lo sa?* Któż to wie? Potrzebaby zagadać do niego.

— Mam szczerą ochotę. Zapytam o godzinę.

Oficer nas minął, a zdawało się, że był bardzo *blady. Ale co* też nie wydaje się czasem!

Jeden ze znajomych moich również o późnej

godzinie powracał do domu. Przechodząc obok mieszkania przyjaciela, mieszkającego na piętrze, zobaczył światło w dwóch oknach: znać pracował jeszcze. Domyślił się, że nie wychodził może, że nikt mu dotąd ważnej nowiny nie udzielił, i zastukał we drzwi.

Przyjaciel okno otworzył i zapytał:

— Kto tam?

— Stacho. Czy wiesz?

— Nie wiem.

— *Dead*! *Dead*!

— *Dead*! *She*!

— *He*! Dobra noc!

— Dobranoc.

Jeden pobiegł dalej. Drugi okno zamknął. Światło z dwóch okien aż niemal do rana biło na plac Bankowy. Znajomy mój wszelako już nie zasiadł do pióra, tylko pokój chyżą przebiegał stopą, różnemi gnany myślami.

Nazajutrz rano, około południa przyszedł do nas Apolinary Zagórski, blady, ponury.

— Umarł!—wymówił, rzucając się, jakby wysilony na krzesło, bo zawsze był słaby bardzo.

— Śmierć ta będzie wielkiej doniosłości—odrzekł ktoś z obecnych.

— Chciał umrzeć... i umarł!—Pan Apolinary niby więcej pobladł jeszcze.—Byłem sam. Położyłem się wcześnie, zasnąłem. W tem budzę się nagle... I jak gdybym głos posłyszał ponury: „Umarł! A umarł w grzechu!“ Senne znowu owładnęło mnie znużenie. Lecz głos ten powtarzał się ciągle. Rano *dowiedziałem* się, kto umarł. Umarł w grzechu!

Módlmy się za jego duszę! Módlcie się panie!— powstał po chwili i wyszedł.

Był to zapewne szczyt najszlachetniejszego, najreligijniejszego uczucia — miłość ewangeliczna — najwyższa miłość chrześcijańska, ażeby modlić się za srogiego ciemięzcę Polski! I myśl taka mogła zrodzić się tylko w przeczystej duszy Polaka-katolika.

Jedni nazwali to chorobliwością. Drudzy ramionami ruszali... Na mnie wszelako Apolinary Zagórski wyrazami swojemi: „Umarł w grzechu! Módlmy się za jego duszę!“ silne zrobił wrażenie— i pamięć tej chwili niezatartą pozostała.

Pod względem towarzyskiego życia, niemasz jak Warszawa! I pod względem serca polskiego— wszelkich objawów miłości kraju i współbraci — poświęceń, ofiar, wszędzie i zawsze przewodniczy ta matka zapłakana i wdowa żałobna po wielkim narodzie! Niby uśmiechnięta niekiedy, bo wielką rozpogodzona nadzieją i wiarą. Niby zapominająca o ranach, ale umiejąca je koić. Bo warszawska ludność jest najpierwszą ze wszystkich.

Szczęsną dla kraju nowiną, nadzieją polską, jakżeż dzielą się skoro i bratnio! Jedno biegnie z nią do drugiego. Witają się na ulicy pytaniem: „Wiesz?“ — „Wiem?“ — i każdy z uśmiechem śpieszy dalej, by pociechę własnego serca ponieść i drugim.

W roku 1846-ym, pierwszą wiadomość o dniach utowych otrzymał bank królestwa. I jeden z *jaciół naszych, ś.* p. Ludwik Ziomecki, urzędnik *bankowy, przybiegł* do nas z tą nowiną, bez czapki

na głowie, która gdzieś zarzuciła się w tej chwili. A mieszkaliśmy przy ulicy Senatorskiej, wprost filarów teatralnych.

Pamiętam, a pamiętam na zawsze 17 marca 1846-go roku, dzień egzekucyi: Stanisława Kociszewskiego i Władysława Żarskiego, którzy młode życie na szubienicy skończyli; — a zarazem dzień mąk Stefana Dobrycza, Michała Mireckiego, Karola Ruprechta, Jana Lityńskiego i Andrzeja Deskura. Od rychłej godziny porannej aż po północy pełno u nas było osób. Jedni przez dzień cały pozostali, drudzy wchodzili i wychodzili, nie mogąc wybyć na miejscu. Łudziliśmy się łaską z Petersburga, bo mówiono o ułaskawieniu pod szubienicą, na mieście—jak to zwykle głoszą o łaskach, jakby dla ironi! — Zostawaliśmy w febrycznym niepokoju. W tem wchodzi ktoś do pierwszego pokoju — był to pan Kazimierz Kossowski i mówi głosem przez żal złamanym:

— Już po egzekucyi...

Krzyknęłam, i upadłam z gwałtownem ściśnieniem serca na ziemię. Poczciwi przyjaciele nasi wybiegli doktora poszukać. Przybył — zacny, szlachetny lekarz i przyjaciel, a był sino-blady, zdrętwiały, jakby bezprzytomny... Mam go przed oczami i nie zapomnę nigdy.

Po chwili słyszymy nie płacz, ale ryk w kuchni. Służący nasz, młody chłopak, pobiegł wraz z drugimi na plac egzekucyi pod cytadelę. Gdy ujrzał oprawców i ofiary, w rozpaczy bezsilnej zemsty, w ekstazie wszystkich uczuć wzburzonych, pod*jął kamień* i rzucił nim w głowę oficera od żandar-

mów, którzy plac otaczali. Zrobił się rozruch... Tłum przelękły, poczciwy, popchnął chłopaka w środek.—„Uciekaj! Zmykaj"! — wołano z cicha i popychali go jak piłkę. To też uciekał bezprzytomnie, raczej instynktowo tylko. Uciekał bez wytchnienia dopóki w domu nie stanął, przy ulicy Senatorskiej. Potem usiadł wysilony na ziemię, wróciła przytomność i ryczał z bólu.

Później przyszedł Teofil Lenartowicz, zmieniony, jakgdyby był z trumny powstał. Trupioblady, a włosy niby jeżyły się na głowie. Widział z oddalenia szubienicę i dramat straszliwy...

— Czułem obowiązkowo—wyrzekł—że powinienem był pójść i widzieć... By tą pamięcią serce na całe zakrwawić życie.

Zatem i w dniu trzeciego marca, po tak ważnym dla Polski wypadku, przeważnym w nieprzewidziane następstwa, mnóstwo przychodziło osób. Całe towarzystwo polskie silnego doznało wstrząśnienia i osłupienia... że się tak wyrażę.

Mówiąc o życiu towarzyskiem w Warszawie, miałam tylko zamiar światlejsze pochwycić smugi, gwiazdki niebieskie, niezabudki i róże. Ale możnaż było przy tym wytrwać programie? Dzień drugi marca niepodobna było pominąć. A za nim wierna pamięć tak łatwo i inne przywołała wspomnienia. Czyliż odpowiadamy za łzy, któremi mimowolnie zajdzie źrenica? Czyliż i piosenka, wesoła nawet także mimowoli rzewnym niekiedy, wśrod raźniejszych, nie zabrzmi tonem? Och, bo w krainie *łez i niedoli* struny liry smętną tylko dźwięczą *nutą.*

Wieczory niedzielne u wojewodziny Nakwaskiej.

Na niedzielnych wieczorach u wojewodziny Nakwaskiej bywało niemal to samo towarzystwo, które spotykano na poniedziałkowych i piątkowych zebraniach. Zgadzano się wszelako ogólnie, że tam było więcej ceremoniału i chłodu, a mniej życia — lubo że i tańczono niekiedy.

Wojewodzina Anna Nakwaska była córką instygatora koronnego Krajewskiego [1]). Pisała z początku po francusku. Lecz wystąpiła sama przeciwko tej zdrożności ówczesnego wychowania zfrancuziałego w artykule zamieszczonym w „Pamiętniku

[1]) Hipolit Skimborowicz, redaktor „Piśmiennictwa krajowego", podał w temże piśmie jej życiorys roku 1840, który niemal cały przedrukowano bez wskazania źródła, przy książce, wyszłej w Poznaniu 1842 roku p. n.: „Obraz warszawskiego społeczeństwa".

warszawskim" z roku 1820. A przedrukował go następnie Jan Sowiński w dziele swojem „O uczonych Polkach". Pani Anna Nakwaska wydała w języku francuskim, „Trois nouvelles, publiées par une Polonaise Suite des nouvelles", „Marguerite do Zembocin", drukowana w „Revue du nord". I przetłomaczyła na język francuski księżnej Wirtemberskiej: „Malwina czyli domyślność serca". W języku polskim wydała: „Aniela czyli ślubna obrączka", obrazek z roku 1831. (Z obawy wyparła się potem autorstwa tej powieści i w „Gazecie porannej" odwołanem zostało). „Odwiedziny babuni", osiem powieści 1833 roku. Wydane powtórnie r. 1844 dla dwóch jej wnuczek. „Młodość Kopernika", drukowana w noworoczniku „Jutrzenka 1834 r.". Przełożona na język francuski a z francuskiego, przez nieświadomość, na polski znowu i drukowana w noworoczniku „Niezabudka" w Petersburgu, pod redakcyą Barszczewskiego 1844. „Czarna mara", powieść historyczna, wyszła w Warszawie z dwiema rycinami 1841 r. Aleksander Tyszyński napisał recenzyę tej powieści niepochlebną. A gdy następnie wydał: „Morena czyli Blade powieści", zaprosiła go dowcipna autorka na obiad:

„Czarna mara prosi Blade powieści na rumianą zupę".

Dalej napisała „Niedzielne wieczory starego stolarza". „Wspomnienia z podróży po Szwajcaryi i Tyrolu 1837". „Wody Karlsbadzkie" i spotkanie swoje z Goethe'm.

Najciekawsze ze wszystkich pism ś. p. wojewodziny *Nakwaskiej* są jej „Pamiętniki". Jako

wierny obraz społeczeństwa z czasów Księstwa Warszawskiego i t. d., a nawet i jako materyał historyczny. Mąż jej był wtedy przewodniczącym departamentów warszawskich, a ona w pierwszej parze z Napoleonem I na balach tańczyła.

Ustępy z tych „Pamiętników czytywano w jej salonie, mianowicie też późniejsza pani Żebrowska autorka powieści „Trzy przyjaciółki". Robił z nich użytek Fryderyk Skarbek, pisząc „Pamiętniki Seglasa", zwłaszcza kreśląc obraz życia pani Vauban. Następnie podawał z nich Józef Korzeniowski wyjątki do „Gazety warszawskiej" roku 1853 — 54. Nadto pozostały po niej nader ciekawe i zajmujące korespondencye. Część tychże znajduje się w posiadaniu Poznańskiego Tow. Przyjaciół Nauk. Zostawała w bibliotece barona Rastawickiego, a biliotekę wraz z galeryą obrazów nabył hr. Seweryn Mielżyński i Tow. Przyjaciół Nauk darował.

Wojewodzina dawała także obiady w czwartki, na które zapraszała inteligencyę Warszawy i które własnym dowcipem i bystrością umysłu ożywiać umiała. Głównym zawsze u niej gościem był wielce w literaturze naszej zasłużony Michał Baliński, mąż pełen wyższego ugrzecznienia i zobowiązującej uprzejmości, a mimo całej nauki nader uważny, by nie chybić nikomu i względny dla wszystkich. Wojewodzina przezwało go trafnie *Papillon Boréal.* Hipolit Skimborowicz także u niej bywał często. Nazywał ją arystokratką, a ona jego *l'homme terrible.*

Bawiono się na tych niedzielnych wieczorach często w zapytania i odpowiedzi. A mam niektóre *pod ręką:*

„Czy Polki są rozumniejsze, czy tylko dowcipniejsze od mężczyzn?"

Odpowiedział Józef Korzeniowski:

„Że Polki są dowcipniejsze od Polaków, świadczą między wielu innemi faktami same ich odpowiedzi na to pytanie. Dość je porównać z naszemi. Że są zręczniejsze dowodzi to, że nie tylko Polacy ale i inni tak tańcują, jak im Polki grają. Że nie są rozumniejsze w ogólności, to jest: że nie tak jasno, jak niektórzy u nas pojmują, kombinują i kierują wszelkiemi stosunkami życia, to nie jest winą organizacyi ich głowy, ale winą ich położenia. W swojej sferze, to jest w stosunkach domowego i towarzyskiego życia, mają więcej rozumu od nas. Na dziesięciu mężów, ośmiu na dobre wychodzi, kiedy rady żony posłucha. Wprawdzie przygoda Adama w raju mogłaby dowodzić coś przeciwnego. Ale Ewa nie była Polką".

„Co za różnica zachodzi pomiędzy kaprysem a zalotnictwem?"

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Kaprys jest przypadkowem amatorstwem, a zalotnictwo stałem rzemiosłem".

„Co za różnica jest między rozumem a dowcipem?"

Józef Korzeniewski odpowiedział:

„Rozum wyszukuje różnice pomiędzy rzeczami podobnemi, ztąd pochodzi dokładne poznanie każdej. Dowcip zaś chwyta podobieństwa między temi, które są od siebie najdalsze. Rozum odbiera *i oddziela*, dowcip składa i zbliża. Można być rozumnym *a nie być* dowcipnym. Ale bez rozumu

nie ma dowcipu. Rozsądek mówi: „Trzymaj język za zębami". Dowcip nie słucha, wymyka się, rzuca się, choćby na coś nietykalnego. Często kaleczy—i dostaje po uszach."

Odpowiedź panny Bronisławy Karskiej:

„Dowcip bawi i każe się lubić. Rozum kocha się i szanuje.

Odpowiedź bezimienna:

„Polki mniej wierzą w swój rozum. Jest to stopień wyższy, zbliżony do posiadania".

„Jaka jest różnica pomiędzy kochać się i kochać"?

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Kochać się, jest uczucie ziemskie, bardziej materyalne, jak duchowe, niestateczne i pełne kaprysu. Jeden polski język tę różnicę odznacza. Kochajcie więc Polki ojczystą mowę, boście jej coś winne".

Odpowiedź pani Nakwaskiej:

„Żona w mężu swoim nie kocha się nigdy, ale go kocha z pewnem poświęceniem".

Odpowiedź panny Bronisławy Karskiej:

„Żona, kochanka i matka kochają. Sobek jest rodzaju męzkiego",

„Jaka różnica zachodzi między wabnością francuzką a polską"?

Odpowiedź Józefa Korzeniowskiego:

„Francuzki wabią szczebiotaniem ładnem, a Polki pełnem wyrazu i wymowy okiem. W pierwszych jest więcej rzeczywistości, w drugich więcej zawodu i poezyi".

Odpowiedź pani Niny Łuszczewskiej:

„U Francuzki grunt trzewiczek,
Biegły jak pytel języczek,
W głowie czuły romansiczek.
U Polek kibić powiewna,
Minka figlarna, choć rzewna,
A że kocha — to rzecz pewna".

„Kogo wolisz: czy tego co dobrze mówi, a źle pisze; czy tego, co dobrze pisze, a źle mówi"?

Odpowiedź Ignacego Humnickiego, autora tragedyi: „Żółkiewski pod Cecorą" i t. d.:

„Obu niemożna chwalić!
Lecz już lepszy, co źle pisze,
Bo go mogę w piecu spalić,
I więcej o nim nie słyszę.
Lecz komu Bóg dał talent i pędzel malarza,
A kto talent poniża i ziomków spotwarza,
Kto mógł być swego wieku chlubą i zaszczytem,
I zasłynąć w narodzie piórem znamienitem...
A kto dla swych widoków czerni własne dzieje,
Przekrzywia — i ostatnią wydziera nadzieję —
Ten niech pamięta na sąd ostateczny,
Na żywot wieczny,
A jak mówi Baka:
I na robaka"!

Odpowiedź ta była wystosowaną, jako przycinek, do Henryka Rzewuskiego, za „Mieszaniny Bejły", przypiski do „Listopada" i t. d.

„Jaki wyrzut sumienia jest najdokuczliwszy, *czy gdy ubliżyło się* przyjaźni, czy też miłości?...

Odpowiedz Ludwika Niemojowskiego:

„Ubliżenie przyjaźni, żal ci w sercu sprawi —
Ubliżenie miłości, cierpieniem zakrwawi.

Pierwszy z czasem się zatrze, a drugi zostanie,
Bo przyjaźń może wrócić — lecz nigdy kochanie"!

„Co godniejsze uwielbienia, czy cnota nigdy niezachmurzona, czy powrót do niej wielkiem poświęceniem udowodniony".

Ludwik Niemojowski odpowiedział:

„Olbrzym zwykle każdego uwagę zatrzyma,
Lecz gdyby drobny karzeł wzrósł nagle w olbrzyma,
Ludzieby z razu oczom własnym nie wierzyli.
Potem zgięli kolana i cud ogłosili. —
Tak samo rzadka cnota ogół zastanawia,
Wielkość jej w sercach ludzi zachwycenie sprawia,
Lecz gdyby wielki grzesznik w znikczemniałym świecie,
Zrzucił brzemię występku, co mu piersi gniecie,
Otrząsł się z czarnej myśli, co go nurza w błocie,
I siłą własnej woli wyrósł wielki w cnocie —
Za mało słowem tylko takiego wynosić —
A raczej paść na klęczki — i świętym ogłosić!

Do czego, lub kogo, przyrównanoby w zeszłem stuleciu kobietę, palącą cygaro"?

Odpowiedział Ludwik Niemojowski:

„Nie wiem, jakieby pradziad zrobił porównanie,
Lecz zawsze niepochlebne dałby pewno zdanie.
Nasi bowiem ojcowie płeć piękną widzieli
Stworzoną do niańczenia, albo do kądzieli.
Poświęcenie od kobiet jak należność brali,

I sami, używając — im użyć nie dali. —
Dzisiaj dzielim z kobietą, złe, dobre przygody —
I szczęście i nieszczęście — i żal — i swobody.
Czy wzbronimy im użyć niewinnej rozkoszy,
Która myśli rozjaśnia, smutek z czoła spłoszy?...
Wielu temu przygania — mnie się jednak zdaje,
Że nam to nie zaszkodzi — im wdzięku dodaje".

„Kiedy najlepiej czujemy, żeśmy godni powołania naszego, jako najszlachetniejsze Stwórcy stworzenia"?

Odpowiedź Ludwika Niemojowskiego:

„Kiedy dopełniam swoich obowiązków ściśle,
Kiedy mam prawość w sercu, kiedy dobrze myślę.
Kiedy wiem, że wciąż jedną postępuję drogą,
Żadne zmiany, wypadki zwieźć mnie z niej nie mogą.
Kiedy wiem, że świat prędzej w cząstki się rozpryska,
Niżli zmienię choć w części cześć mego nazwiska;
Kiedy się duszą, sercem wiążę do dobrego,
Wtedy czuję, żem godny powołania swego".

Pamiętam, w Salzbrunnie, w towarzystwie, złożonem z kilkunastu osób, znajdowali się także: Ludwik Niemojowski i Henryk Wieniawski. — Niemojowski pokazywał jakąś sztuczkę kuglarską, a Wieniawski jego zręczności przyganiał.

— *Pardon!* — zawołał — *on peut critiquer un artiste, mais jamais un amateur.*

Ludwik Niemojowski jest autorem kilku komedyi napisanych wierszem; pięknej pracy poetycznej: „Obrazy z pisma świętego", wydanych u J. K. Żupańskiego w Poznaniu, r. 1856 i t. d. — Jako *obywatel królestwa*, dziedzic dóbr Radoszewice

w gubernii kaliskiej, powiecie wileńskim, wywieziony został roku 1863 wraz z wielu innymi na Sybir, gdzie dotąd zostaje w Minusińsku, w guberni Jenisejskiej. — Byłby już — jak słyszymy z ust wiarogodnych—wraz z drugimi powrócił zapewne, gdyby tam, zkąd jemu ulga i pociecha płynąć powinny—nie stawała właśnie przeszkoda — niestety! — niestety! która pod tym względem wszelkie paraliżuje staranie.—Pan Ludwik Niemojowski ma i dzieci kilkoro, dla których powrót ojca stałby się zbawienny!

Nasuwa się przy tej sposobności pamięci mojej anegdotka prawdziwa, którą mi kiedyś opowiadano w Lubelskiem, i przytoczę ją tutaj. Po roku 1831 był w Siedlcach gubernatorem wojennym generał Korf, człowiek prawy i honorowy. Dnia jednego przyjechała do niego jejmość jakaś, dziedziczka wioski, i zadenuncyowała własnego męża, że należał do rewolucyi, ma dotąd stosunki z wychodźcami, jest nieprzychylnym rządowi i t. p. Generał słuchał i milczał. Jejmość coraz więcej prawiła. „Zapewne go pan generał zaraz aresztować każesz?" zagadała wreszcie. „Jedź pani do domu", odrzekł jej. „Ale pan generał każesz go aresztować i wywieść z kraju?" — „Nie pani". — „Ale kiedyż na nim takie ciężą winy!" — „Wracaj pani do domu. Męża aresztować nie każę, bo on jest aż nadto ukaranym za wszelkie swoje przestępstwa, mając taką żonę, jak pani". Jejmość poczerwieniała, posiniała, i jak furya wyleciała z pokoju. A cóż stało się dalej? —Wszyscy wytykali ją palcami! — W Kościele chłopki usuwały się od niej.

Ale wracajmyż do pani Anny Nakwaskiej.

Ś. p. wojewodzinę zajmowało wszystko, cokolwiek jawiło się w piśmiennictwie polskiem, cokolwiek w polskim wydarzyło się kraju. Gdy J. I. Kraszewski przybył do Warszawy r. 1847-go, społeczność cała rwała się po prostu, wybaczcie mi to wyrażenie, ażeby go widzieć, słyszeć, poznać, powitać. Mąż mój, najgorliwszy jego przyjaciel, wielbiciel, zostający z nim już od lat kilku w korespondencyi, szczególniej tym przyjazdem był uradowany, bo wszystko brał zawsze nader żywo i gorąco, sercem całem. Biegał ciągle do hotelu Angielskiego, gdzie nasz znakomity autor zamieszkał, i nim jednym był zajęty. A widząc ten natłok cisnących się w koło jego osoby, zapraszających go, niemal wyrywających go sobie, z rozbudzoną i podnieconą fantazyą, napisał do „Dzwona literackiego" humorystyczne opowiadanie: „Józef Ignacy Kraszewski w Warszawie", w którem wiele, bardzo wiele było prawdy. Wieść o tej nowej ramotce gruchnęła hyżo w kole literackiem i rozbiegła się dalej. Wojewodzina posłyszała o niej także, a szczera wielbicielka twórczego pisarza i, jak powiedziałam wyżej, wszystkiem żywo zainteresowana, przysłała z prośbą o ten artykuł, zanim zeszyt „Dzwonu" wyszedł. August uczynny i skory, gdy chodziło o dogodzenie czyjemu życzeniu, zwłaszcza też życzeniu tak szanownej matrony, zaniósł jej ramotkę w korekcie i przeczytał, co ją szczególniej zadowoliło, bo aż w dłonie klaskała.

Polka całą duszą, jak to już powiedziałam, *zgrozą przejęta* została każdym czynem anty-patryo-

tycznym, i przebolała każdą niedolę kraju. A dowcipna i prawdomówna, nawet i ostra niekiedy, nie przebaczała nikomu.

Gdy Henryk Rzewuski zamieszkał w Warszawie, częstym u niej bywał gościem. I przez żart zapewne, namawiał ją ciągle, ażeby, jako jedna z najuczeńczych Polek, nauczyła się także rosyjskiego języka. Z początku odpierała to żartem, a potem i nieco gniewem. Aż wreszcie odpowiedziała mu dnia jednego, że uczyć się zacznie, a w przyszłą niedzielę już po rosyjsku do niego przemówi. Przybył na ten wieczór niedzielny, jak zwykle. Przystąpił do wojewodziny i powitał ją. Poznała głos jego, bo wzrok miała już słaby bardzo.

— Czy pani wojewodzina dotrzymałaś słowa? — zapytał, przypominając jej język rosyjski.

— A jakże! — odrzekła. — Paszoł durak!

— Wyborny początek!—odrzekł Rzewuski i pocałował ją w rękę.

Razu jednego wracała wojewodzina późno wieczór z ulicy Mazowieckiej czy też Królewskiej. Było to w grudniu. Wiatr dął przeraźliwie i sypał gęstym śniegiem, który głębokie tworzył błoto. Henryk Rzewuski zaprosił się do karety pani Nakwaskiej, i zabrała go. Dojeżdżając do Saskiego placu, autor Listopada przemówił, że należy się, by każdy Polak i każda Polka pomodlili się przed pomnikiem wystawionym przez cesarza „wiernym tronowi Polakom".

— Dla czegożby nie?—odrzekła wojewodzina, można się pomodlić za niewinnie lub przez omyłkę *poległych*, a mających teraz napis na tym pomniku.

za generała Stasia Potockiego, który zawsze dobrym był Polakiem i człowiekiem szlachetnym, a zbałamuconym w pierwszej chwili; za poczciwego, zacnego generała Siemiątkowskiego, serdecznego Polaka, za generała Nowickiego, prawego męża, który poległ przez pomyłkę nazwiska... A wreszcie, mój Boże, toćże jest po chrześcijańsku i po katolicku westchnąć za grzeszników.

— Więc pomodlimy się, pani wojewodzino?

— Owszem!

Rzewuski kazał karecie przystanąć.

— A to na co?

— Wysiądziemy przecie.

— A, dobrze. Wysiadaj pan.

Pan Henryk wysiadł. Wojewodzina drzwiczki zatrzasnęła i szarpnęła za taśmę, dając rozkaz stangretowi. Kareta potoczyła się szybko. Autor „Mięszanin“ pozostał się w błocie i w śnieżnej zamieci.

Aleksander Tyszyński napisał w Albumie wojewodziny:

„Piękna płeć jest to ludzkość w objawieniu swej wyższości. Piękna płeć to nie ludzkość, to środek jej przechowania. Jest to jedna z form fałszu w rozwijaniu ziemskiem i zaprzeczenie pierwotnie objawionemu na świat twierdzeniu“.

Te i tym podobne zdania, to zdania prawd oderwanych, dość je wynieść ze sfery ich oderwania i zapisać na kartach księgi znakomitej autorki.

Karolina z Potockich Nakwaska, autorka: „*Dworu wiejskiego*“, zostająca z mężem, p. Henrykiem, *na emigracyi*, była jej synową. Córka tejże, w mło-

dym zmarła wieku, była żoną Cypryana Walewskiego — literata i właściciela pięknego i bogatego księgozbioru, który także już umarł. Umysłu—bystrego i zdolna, przypisywano młodej jeszcze panience, wiersz: „Co ja lubię!" zamieszczony w Kronice „Biblioteki Warszawskiej", roku 1843, jako odpowiedź na „Co ja lubię", pani Anieli Dembowskiej, które w swoim czasie dużo wrzawy narobiło w Warszawie.

Druga wnuczka ś. p. wojewodziny jest żoną Edwarda Rastawieckiego, pracowitego badacza rzeczy ojczystych. Wydał „Mapografią dawnej Polski", Warszawa 1846, — „Słownik malarzów polskich, tudzież obcych w Polsce zamieszkałych, lub czasowo przebywających" trzy tomy, Warszawa 1850, i wraz z Aleksandrem Przeździeckim jest wydawcą dzieła: „Wzory sztuki średniowiecznej" jako współredaktor „Biblioteki Warszawskiej", zamieścił w piśmie tem wiele rozpraw treści archeologicznej.

Czwartkowe wieczory u Kazimierzostwa Wójcickich.

Do najprzyjemniejszych chwil w Warszawie, zaliczam spędzone w domu pp. Wójcickich. Szanowny autor „Gawęd", pan Kazimierz Władysław i w ustnej rozmowie nader miłym jest gawędziarzem, a zacna małżonka jego, pani Hanna, siostra Dominika Magnuszewskiego, łagodna, dobra, szczera, z wdziękiem niewieścim, prawdziwą przedstawia nam Polkę. Wszystko też w ich domu nosi szczero-polską cechę, jakoby dawny po dziadach zabytek.

Była tam i stara, poczciwa Nowakowska, krzątająca się ciągle koło dziatwy, w pokojach i kuchni, rada witająca gościa. Był tam stary Jan, niby gdera trochę, a serdecznie do całej przywiązany rodziny. Odprowadzał mnie raz późnym wieczorem do domu. Nagle zobaczyliśmy łunę na niebie. Straż *ogniowa z łomotem*, z pochodniami przez ulice pędziła, *a lepszej i* skorszej nigdzie niema zapewne.

Przystanęłam... a potem szłam śpieszniej. Gdy stary do domu powrócił, opowiadał o przygodzie naszej, dodając: „I pani Wilkońska ma boja, istnie jak nasza pani. Już to wszystkie niewiasty mają boja!"...

Wszyscy literaci, ktokolwiek kiedy co napisał, znakomici, znani i nieznani, wszyscy najpierwej w progi pana Kazimierza przychodzą. Z dalekich stron przybyli, z ugruntowaną już sławą i zasługą w kraju; początkujący, z maluczką niekiedy próbą, wszystkich tam napotkać można. Już to, że pan Kazimierz Władysław Wójcicki jest znanym od lat czterdziestu jako badacz i gorliwy pracownik na niwie piśmiennictwa polskiego, już też, że od lat dwudziestu kilku jest głównym redaktorem „Biblioteki Warszawskiej".

Bywali mistrze pędzla i dłuta, mistrzowie tonów, artyści dramatyczni: Królikowski, Rychter, Komorowski; urzędnicy wyżsi, mecenasi, dokorzy, dawni wojskowi; wielkich zasług i nauki wielkiej ks. Beniamin Szymański, przełożony Kapucynów a późniejszy biskup podlaski, znany i za granicą z pracy swojej znamienitej: „O klasztorach"; obywatele, obywatele wiejscy, jak to pp.: Komierowscy, Zielińscy, książę Jeremi Woroniecki, hr. August Krasiński, Prot Lelewel, Lassoccy, Parzelscy i t. d.

Jednej zimy ożywiali nasze towarzyskie zebrania panowie Kraszewscy, ojciec i brat znakomitego pisarza: pan Jan nadzwyczaj przyjemny, naukowy, pełen życia, autor prac kilku, mianowicie też o „Gubernii Pińskiej" i pan Kajetan, znany jako zdolny *kompozytor* w świecie muzycznym.

Jak tylko dłuższe, jesienne zawitały wieczory, państwo Wójciccy przjmowali w czwartki, i mnóstwo na tych wieczorach zbierało się osób.

Przed adwentem tańczono nieraz aż po północy. Gdy rozpoczął się adwent, wieczory czwartkowe przemieniły się całkiem w literackie. Przeczytano artykuł jaki, który niestety, pomazała cenzura nieubłagana, albo zabiła całkiem; jaką śliczną poezyę, która w Warszawie drukowaną być nie mogła; ustęp piękniejszy ze świeżo wyszłego dzieła, korespondencye różne, z różnych stron kraju, poważne i charakterystyczne, ważne, ciekawe, dziwaczne lub zabawne. W adwencie zwykle tylko ściślejsze zbierało się kółko, a czas bardzo mile i pożytecznie schodził.

Od święta Trzech Króli czwartkowe wieczory stawały się licznemi, niekiedy i bardzo licznemi, bo po siedemdziesiąt, osiemdziesiąt i więcej bywało osób. Brzmiał fortepian, śpiewano, a potem tańczono zawsze. Miła gosposia, uśmiechnięta, rada wesołej drużynie, pohasała także. I sam pan Kazimierz, ucieszony ochotą pod swoim dachem, nieraz w mazurowej wybrany figurze, raźno po szklistej sunął posadzce.

W dalszych pokojach grano w gierylasa, preferansa, wista. A w buduarze pani domu, ładnemi zastawionym fraszkami, z dużem oknem weneckiem, ozdobnem, umajonem południowego nieba drzewkami i świeżem kwieciem, chętnie do swobodnej, poufnej wymykano się gawędki.

Przyjęcia, z wyjątkiem imienin, ostatków, Wielkiejnocy—*były* skromne: herbata, bułeczki obłożone

szynką lub pieczenią, pączki, sucharki, jak to zwykle bywa na tygodniowych wieczorach w Warszawie.

Gdy wielki post nastąpił, znowu-li czysto literackie zawitały wieczorki, a razy parę urządzono i teatr amatorski. Pomiędzy innemi odegrano „Fabrykanta powozów" J. Korzeniowskiego i „Nikt mnie nie zna" A. Fredry. W roli Baltazarka przypominam sobie sławnego dziś malarza i rysownika Kostrzewskiego, jako niepośledniego komika.

Marsz Kossutha, wykonany na fortepianie, uwerturę zastąpił. A pomiędzy aktami posłyszeliśmy śpiew zawsze piękny: „Gdyby orłem być!"

A jakiż to tam był ruch wtedy i krzątanina! Jakichże to starań dokładały mamy i ciocie!

— Pani dzisiaj nie przy gierylasie! — zapytałam pułkownikowej Zdzitowieckiej, biegnącej z szarfą błękitną w ręku.

— Jakżeżbym mogła oddawać się przyjemności własnej — uśmiechnęła się, poruszając głową— mając córkę artystkę! To wkłada obowiązki wielkie.

Bo właśnie córka jej występowała w „Fabrykancie".

Pewne to wszelako, że malutkie wieczorki poufne, w cztery, w pięć osób, najserdeczniej pozostały mi w pamięci.

— Polciu, chodźmy do Wójckich! — zawołał August nieraz z pokoju swojego, od stolika przy którym klecił ramotki.

A byłam gotowa zaraz, porzuciwszy pióro, igłę, *lub książkę.*

— Gdy przyjdzie pan Lenartowicz, pan Wolski, lub który inny z tych panów — polecił August służącemu, — to powiedz, żeśmy poszli do państwa Wójcickich i niech przyjdą za nami.

Bo na takiej z nimi żyliśmy stopie.

Powitani serdecznie, zasiedliśmy przy kominku w bibliotece, pięknej a bogatej, która zarazem była i pracownią pana domu. Pan Kazimierz siadał zwykle naprzeciw ognia, z pogrzebaczką żelazną w ręku, obok niego August z fajeczką. Ja na kanapie pod ścianą, chroniąc się przed płomieniem, a przy mnie pani Hanna. I nuż pociągnęła gawędka, która z równem ożywieniem i zajęciem godzin parę potrwała. Niekiedy przybył ktoś więcej, który z poetów, ś. p. Lisowski historyk, Julian Bartoszewicz znakomity dziejopis, dziś już także, niestety, świętej pamięci, a przedwcześnie zabiła go praca i cierpienie... zacny sędzia Sławianowski, przyjaciel dawny pana domu; Fryderyk Skarbek, albo który z współredaktorów „Biblioteki Warszawskiej".

W roku 1845 pragnęli młodsi literaci, nasze codzienne stanowiący kółko, uczcić dzień św. Kazimierza, i jaką niespodziankę szanownemu solenizantowi wyprawić.

— Krakowskie wesele! — proponował Włodzimierz *Wolski.*

— *Kadryl* złożony z osób, wchodzących do

klechd i gawęd!—wymówił Lenartowicz — a ja zaraz będę Rybałtem

— Teatr amatorski!

— Kantatę! Kwartet! — odezwał się trzeci i czwarty.

— To wszystko przeminie!—odparł August — dźwięki przewioną i pamięć się zatrze. Ale złóżmy solenizantowi trwalszą pamiątkę, np. puhar srebrny.

— Puhar! puhar! zgoda na puhar! — zawołali jednogłośnie wszyscy.

Zatem składka rozpoczęła się zaraz, każdy z nią chętnie podążył.

Z literatów pamiętam następujących: Teofil Lenartowicz, Włodzimierz Wolski, Bogdan Dziekoński, Aleksander Niewiarowski, Antoni Lesznowski, Józef Kenig, Józef Ćwierczakiewicz, Julian Zaćwilichowski, August Wilkoński, Ludwik Norwid, Pathie i t. d. Nadto przyłączyło się kilku obywateli wiejskich, a pomiędzy tymi Józef Komierowski, autor „Augusta z Kości".

Puhar piękny, wykonany został w złotniczej pracowni Malcza. Na pokrycie zrywa się orzełek do podlotu. Rzeźby wyrobione są sztucznie i ze smakiem. A napis cały stanowią wyrazy:

Rzeczy ojczystych pisarzowi

K. W. Wójcickiemu

w dniu imienin, 4 marca, 1845 r.

W Warszawie obchodzą zwykle imieniny *w przedwieczór* dnia święta. Całe więc grono

składkowe zebrało się u nas, ażeby pospołu udać się na Królewską ulicę do pałacu Łubieńskich, gdzie państwo Wójciccy mieszkali. Czekaliśmy dość długą chwilę na Lenartowicza, a miał do solenizanta przemówić. Nie nadszedł, więc pojechaliśmy bez niego, przypuszczając, że nas wyprzedził, nie wiedząc o wspólnej wyprawie. I tak się też stało, bośmy go już zastali w pierwszym pokoju, czekającego na nas. A widocznie był cierpiący.

Przywołano gospodarza. Nadszedł Lenartowicz, przemówił serdecznie. Ofiarowano puhar... i solenizant aż do łez się rozrzewnił.

Salon był już przepełniony gośćmi, rodziną i przyjaciółmi. Samych literatów zebrało się w dniu tym czterdziestu!

Wniesiono zdrowie pana Kazimierza, rzeczy ojczystych pisarza! Małżonki jego i dzieci.

Poczem August ukląkł i zawołał:

— Ku czci Dominika Magnuszewskiego!

Wszyscy toast powtórzyli. Młodsi przyklękli także. A nikt nie przeczuwał, że poeta wtedy już nie żył, bo dopiero za trzy dni później smutna o zgonie jego wiadomość nadeszła, która żalem nieutulonym kochającą przejęła rodzinę. A podzielali go wszyscy, którzy zdolności narodowe miłują i ocenić umieją. Bo Dominik Magnuszewski do naszych znakomitych należał poetów.

Po spełnieniu toastów zabrzmiał fortepian z towarzyszeniem skrzypców, tańcem polskim, i liczne pary pociągnęły, niby barwna wstęga, przez mieszkanie całe, zawracając zręcznie, z powagą a ukła*dnie,* istnie po dawnemu. Stary Jan stał na boku,

i aż mu żgliła źrenica, że panisko kochane tak wesoło święto swoje obchodzi. I sędziwa Nowakosia przypatrywała się z uśmiechem, ze złożonemi rękoma, w czepcu z pąsową wstążką.

Po tańcu polskim dziarski nastąpił mazur i tańczyliśmy aż do dnia białego.

Śmierć Dominika Magnuszewskiego, śmierć na tułactwie po roku 1831, jakkolwiek, że w bratniej Galicyi, to wszelako nie na łonie rodziny, którą kochał i do której tęsknił, nadzwyczajną boleścią dwie jego siostry dotknęła. Tem więcej, że nastąpiła niespodzianie zupełnie, że weseliły się wtedy, gdy już legł w grobie.

— August znać w dziwnem natchnieniu wzniósł ów toast dla Dominika — wymówił pan Kazimierz w dni kilka po odebraniu wiadomości żałobnej — a jeszcze klęczący!

— Może duch zmarłego wieszcza unosił się wtedy nad nami...—odrzekłam, nieco tą uwagą rozmarzona.

— Ha!... A wiesz pani, że Dominik był spirytystą i wierzył w duchy? Opowiadał nam z wiarą całą, że siedząc w nocy przy biórku, tworzył i pisał. W tem dreszcz przejął go nagły. Mimowolnie podniósł oczy, spojrzał... blisko niego biała stanęła postać. Poznał matkę, którą kochał bardzo... miała wyraz twarzy anielski, była uśmiechnięta... Porwał się, wyciągnął ręce... Widzenie znikło — i na wpół zemdlony upadł na krzesło. W dni kilka potem odebrał wiadomość, że matka umarła.

— Słyszymy nieraz o podobnych wypadkach.

— Czy pani wierzysz w ukazywanie się duchów?—zapytał mnie obecny Bogdan Dziekoński.

— Nie mam bezwzględnej wiary w duchy, ale jej też i bezwzględnie nie odpycham wcale. Nie należę do mistyków, lecz wyznaję szczerze, że mnie ten właśnie mistycyzm szczególniej pociąga.

— Jak bardzo wielu, lubo, że nie wszyscy do tego przyznają się radzi. Wszystko, cokolwiek niełatwo wytłomaczyć sobie potrafimy, wrodzony dla natury ludzkiej ma urok.

— Nazywają to chorobliwością umysłu, rozgorączkowaną fantazyą. Ale, przypuśćmy, że podobne wypadki, jak ś. p. Dominika Magnuszewskiego, bywają wynikami rozgorączkowania władz umysłowych, to zkądżeż właśnie takie wzięło się widzenie? Jeżeli powiemy: było to przeczucie! To wszakże i przeczucie jest także czemś nadzwyczajnem. Zatem, są dziwy na niebie i na ziemi o jakich ani się śniło filozofom naszym!

— A których i najmędrszy myśliciel nie chciałby odgadnąć i wyrozumować... bo nie potrafi!

Bogdan Dziekoński, obok wielkiej nauki i rozumu był marzycielem, był mistykiem, a dowiódł tego i później, przylgnąwszy całą duszą do Towianizmu.

— Toćże i nasz Czacki—zagadał jeszcze Wójcicki—którego nikt zapewne o marzycielstwo i mistycyzm nie posądziłby nigdy, także miał ciekawe widzenie. A było to w południowej godzinie, przy *jasnem świetle słonecznem*. Stolik, przy którym pisywał *zwykle stał* przy oknie. Siedział przy nim

właśnie i pisał, gdy nagle padł cień na papier. Spojrzał w okno, i zobaczył po za niem przyjaciela od serca: Ignacego Potockiego, z którym zawsze jednych był myśli i uczuć. Porwał się z radością i wybiegł, by kochanego powitać gościa. Nie było nigdzie powozu, i nikogo nie widział. Obiegł dom w koło. Zawołał na służbę i o pana Potockiego dopytywał. Nikt go nie widział. — Jakto! Przecież przybył! Na własne widziałem go oczy! — Upragnionego gościa jednakże nie było nigdzie, a w dni kilka później nadeszła wiadomość o jego zgonie.

Opowiadanie to dziwne na Dziekońskim zrobiło wrażenie.

Dominik Magnuszewski urodził się r. 1809, w Warszawie, z ojca Hiacynta i matki, Maryi z Borakowskich. Miał więc lat trzydzieści sześć dopiero, gdy umarł. Będąc jeszcze w Liceum warszawskiem napisał wspólnie z Zygmuntem Krasińskim powieść historyczną: „Władysław Herman i dwór jego". Później wydał komedye: „Stary kawaler", „Zdzisław, czyli skutki płochości", grane obiedwie w teatrze warszawskim. Dalej napisał wierszem dwa dramata: „Hieronim Radziejowski" i "Władysław biały, książę Gniewkowski". „Guy du Faur czyli pacta conventa", ustęp historyczny. „Zemsta panny Urszuli", powieść z niezrównaną rapisana werwą i jaskrawością. „Niewiasta polska w trzech wiekach: Małgorzata z Zembocina, Barbara Radziwiłłówna Gasztoldowa i Zofia Grabowska, zaślubiona Stanisławowi Augustowi". „Dramat w naturze", *utwór* na wskroś poetyczny. „Bekwark, lutnista".

„Rozprawy o dramatyczności“ i wiele nader wdzięcznych poezyi. Do mnie przemawiał szczególniej wiersz: „Do sióstr moich“ z którego tu zwrotkę zapiszę:

Jedna biedna tylko struna,
Co nam spaja pierś tułaczą,
Gdy gdzieś nieszczęść bije łuna —
Grób — a przy nim dzieci płaczą...
Wtedy nasze łzy to moje —
Bo do płaczu jest nas troje.

Och! Świat rozdzielić może, stosunki, okoliczności, uśmiech losu... ale, gdy przyjdzie zapłakać to pewnie i połączą się serca!

Prócz wspomnianych pozostawił Magnuszewski dużo jeszcze rzeczy niedokończonych, niestety! Z tych drukowane były: „Pan Kaniowski w Niezapominajkach“ Karola Korwela. „Kamil“, ułamek z dramatu w „Bibliotece warszawskiej“. „Rozbójnik salonowy“ i t. d.

Na św. Annę, czyli raczej w wigilię, jako w przeddzień święta pani Hanny Wójcickiej, także mnóstwo u nich zbierało się osób.

Pamiętam w r. 1847. Piłam wody maryenbadzkie w ogrodzie wód mineralnych Dekera. W przeddzień św. Anny wróciłam z ogrodu nadzwyczaj znużona, nerwowa, cierpiąca. Około południa przybył jak zwykle, lekarz nasz i prawdziwy przyjaciel, doktór Chałubiński. Skarżę się i dodaję, że dziś zapewne na imieninach nie będę.

— Ale gdzież tam!—zaśmiał się. Dam pani leciuchny napój. Weź pani kąpiel. Po obiedzie połóż się pani i prześpij parę godzin. O ósmej, dziewiątej pojedź na uroczystość św. Anny i potańcz do godziny drugiej po północy.

Przepis szanownego doktora nie był zbyt trudnym do wykonania. Spełniłam go zatem jaknajściślej, a w końcu zasnęłam smacznie. Gdy w tem, była podobno już piąta godzina, August zlekka we drzwi zastukał.

— Nie śpisz, Polciu?

— Zbudziłam się właśnie.

— Przyszli państwo Korzeniowscy.

— Poproś. Zabaw! Pośpieszę zaraz!

I pośpieszyłam miłych, szanownych gości powitać. Byli oboje państwo i dwie panny: Marya i Hanna.

— A to mi śpioszek! — zawołała pani Korzeniowska, obejmując mnie przyjaźnie.

— Koleżaneczka znużyła się pewnie zbyt rozbujałą fantazyą? — zażartował nasz znakomity dramaturg, ściskając mi ręce obiedwie.

— Ależ bynajmniej! Spałam wedle recepty doktora Chałubińskiego—i opowiedziałam cały przepis lekarski.

— Tańczyć aż do rana? *Quelle douce violence*! Dobry doktór, bardzo dobry doktór!

Czułam się, zaprawdę, już zdrową, a kochani goście moi pokrzepili mnie do reszty.

Później przybyła pani Tekla Biesiekierska, żona pana Ferdynanda a siostra znamienitego obywatela, Antoniego Kraszewskiego z Kujaw, z Tarko-

wa posła na sejm berliński i niepospolitego mówcy, bo słowa głębokiej nauki płynęły mu z duszy i serca. Przestawaliśmy dużo z tą rodziną — a pani Ferdynandowa okazywała mi zawsze życzliwości wiele.Byłam dla niej ze szczególnym szacunkiem bo zasługiwała nań wielce, jako kobieta rozumna, szlachetna, jako Polka-obywatelka i matka wzorowa. Cześć jej pamięci!

Jakby w dziwnem przeczuciu śmierci napisała mi w Albumie:

„Za łaskawe pozwolenie mieszczenia imienia mego w tem miłem sercu Twojemu gronie, tę składam prośbę:

Abyś choć czasem Twą pamięć zwróciła,
Na tę, co dla Cię tchnie przyjaźnią tkliwą —
I ją nawzajem tak kochać raczyła,
Ile ci życzy, byś była szczęśliwą.
A gdy usłyszysz, ukochana Pani!
Że burzą życia jej łódź skołatana,
Już żagiel zwinie u wiecznej przystani —
Wznieś Twe westchnienie do zastępów Pana!

Umarła w roku 1850 w czasie pobytu mojego w Zamościu. Płakałam jej szczerze.

Ale wracajmyż do św. Anny.

Mili goście zabawili wśród ożywionych pogadanek do godziny ósmej. Państwo Korzeniowscy odeszli, zaprosiwszy nas na jutro. A panią Biesiekierską odwiózł August na Nowy-Świat gdzie mieszkali.

— Polciu, ubierz się tymczasem!—napomniał jeszcze, podając rękę pani Ferdynandowej.

Rzuciłam się więc zaraz do gotowalni i byłam już przystrojoną zupełnie, gdy powrócił.

O pół do dziesiątej weszliśmy do salonu państwa Wójcickich. Uścisnęłam kochaną solenizatkę. August oracyę wypalił z dewizą:

Lampa goreje.

Wiatr wielki wieje.

Zaczął humorystycznie, ucałował rączki pani Hanny i serdecznemi zakończył słowami.

— Doktór nakazał tańczyć—zagadał do mnie gospodarz domu—więc trzeba go słuchać!

A rozumie się, żem recepcie posłuszną była i zaraz do mazura stanęła.

Po chwili spostrzegłam na kanapie siedzącą, nieznajomą mi panią, młodą jeszcze, blondynkę białorumianą, z bystremi oczkami ciemnemi, uśmiechniętą i pełną ożywienia.

— Któż jest ta pani w szafirowej sukni?—zapytałam mojego tancerza, Włodzimierza Wolskiego.

— Nie wiem. Nie znam jej.

— Ma dla mnie coś nader sympatycznego.

— I wyraz inteligentny.

Po mazurze, szafirowa pani podała rękę gospodarzowi domu. Przeszli się po salonie. Przystąpili do mnie i pan Kazimierz Władysław wyrzekł:

— Pani Seweryna Pruszakowa.

Uścisnęłam dłoń jej oburącz. Usiadła obok i zaraz pełna zajęcia zawiązała się rozmowa. Znałam już niektóre z jej prac literackich powierzone panu Wójcickiemu, więc na przedmiocie nie zbywało.

Mówiła mi, co jaką rzecz pochlebną zachowałam w pamięci, że powiastka moja: „Sama jedna"

przeczytana w samotności wiejskiej, tyle wywarła wrażenia, że ją do pisania zachęciła. Jak bądź jestem kobietą i takie kwiatki przechowuję.

Pani Pruszakowa ukazała się tego wieczora po raz pierwszy w naszem gronie. Odtąd, zamieszkawszy Warszawę, bywała w niem ciągle i dodawała mu życia.

— A co, czy nie powiedziałam, że pani będziesz zdrową wieczorem?—zagadał doktór Chałubiński, przystępując do mnie po chwili.

— Czuję się, zaprawdę, zdrowiuteńką— odrzekłam.—Uleczyła mnie nasamprzód recepta pańska, mili goście, mazur ochoczy i towarzystwo przyjemne, które mnie otacza.

— Bo też to wszystko do recepty należało mojej.

— Proszę zawsze o tak skuteczną i miłą.

Nazajutrz, z podwojoną gorliwością piłam „Maria-Kreutzbrun.“

Wigilię Bożego-Narodzenia obchodzono w kole rodzinnem pp. Wójcickich, do którego jednakże i kilka osób nie pokrewnych, ale przyjaznych, zaproszonych zostało.

Obchodzono Gwiazdkę dla młodszej dziatwy. Gwiazd królową, czyli Gwiazdką była jedna z kuzynek, biało ubrana, w koronie. Przemawiała głosem pieszczonym z poza zasłony ze srebrnej przędzy i pacierz zmówić kazała. Co też dziatwa pobożnie wy-

konała klęcząc. Augustowi przeznaczono rolę Gwiazdona. Ustrojono go w odwrócone tumaki, w kołpak niby hetmański z białem piórem i długą przylepiono mu brodę. Przemowę do dziatwy miał w dosadnych słowach, zapytywał ich o królów polskich... poczem posypały się cukierki, marcypany i wniesiono choinkę z przeróżnemi darami. Zadźwięczał fortepian, a na zakończenie uroczystości zaśpiewano Kolendę.

Jest zwyczajem w Warszawie, że znajomi odwiedzają się w czasie świąt wielkanocnych, by święconem podzielić się jajkiem, wedle obyczaju dawnego.

U państwa Wójcickich, w drugie święto, mnóstwo na Święcone zchodziło się osób. Stół wystawnie zaopatrzony, bielutki baranek z chorągiewką czerwoną, przewyborne mazurki, jakich tylko jedna Warszawa dostarczyć potrafi; smaczne babki, placki, szynki, głowizna, pieczenie...—w koło gwar i wrzawa, wiwaty różne, przemówienia... otóż i charakterystyczny obrazek.

Zebrani pozostawali aż późno w wieczór i tańczono niekiedy ochoczo bardzo.

Pan Kazimierz Władysław żył przez lat wiele w ścisłej przyjaźni z doktorem Rakowskim. Okoliczność jakaś zerwała ten związek... Obadwaj boleli nad tem, ale nie widywali się wcale, i unikali siebie nawzajem. Po latach kilku pani Hanna Wój-

ka ciężko zachorowała. Mąż zrozpaczony przyzwał dawnego przyjaciela, który, jako lekarz, całe ich zaufanie posiadał. Doktór Rakowski przybył bez zwłoki. Pan Kazimierz Władysław biegł ku niemu z rozwartemi szeroko rękoma — padli sobie w objęcia—i zapłakali obadwaj.

Troskliwa opieka i nauka lekarza-przyjaciela przywróciły pani Hannie zdrowie, tyle pożądane dla wszystkich. A przyjaźń dawna tem ściślej znowu zwarła się teraz.

Po dniach lutowych roku 1848 wszystko wrzało w Warszawie.

W wigilię św. Kazimierza przeszło sto osób zebrało się u pp. Wójcickich. Tualety balowe, liczne światła, woń kwiatów, muzyka dobrana wszystko jakby tchnęło życiem. Młodzi podśpiewywali przy polce, przy mazurze, i zabawa aż do dnia białego potrwała.

Niestety! był to na lat parę—a raczej kilka—ostatni wieczór tak szczerze wesoły.

Na życie towarzyskie Warszawy oddziaływa dotkliwie każda klęska publiczna, każda niedola bratnia. Następstwa politycznych przewrotów w całej niemal Europie po rewolucyi lutowej w Paryżu, i reakcyach srogich, krwawe i pełne zgrozy dramata, nasze ofiary, bez których nie obędzie się nigdy *i nigdzie*—bombardowania Krakowa, Lwowa... no-

wą społeczność polską przygnębiło boleścią i okryło żałobą.

Opatrzność w wyrokach niedościgła swoich — niepojęta dla nas, dzieci ziemi — znać naród polski do walk ciągłych i ciągłych namaszczyła cierpień, bo przy każdem krwawem żniwie jaśnieją imiona polskich bohaterów i ofiarników. A wszakże nic bez Bożej nie dzieje się woli! wszystko cele ma swoje i krew przelana użyźnia — i łza, jakoby rosa niebieska, marnie nie wypłynie. Zatem ufajmy!

Po dniach marcowych 1846 r. zagrzmiał groźny ukaz cara: „Korzcie się ludy — (poganie) bo z nami jest Bóg!" A Europa wstrząśnięta nadziejami swobód nowych i chwilową miłością ludowego braterstwa, zadrżeć miała trwogą i paść krzyżem ze skruchą, co też i niebawem wstrętnie w różnych reakcyjnych objawiało się prasach, że aż „Breslauer Zeitung" w jednym z numerów swoich wyrzekła: „Ich wittre Morgenluft. O Knute"!

Po objawach zapałkowych plemiennego braterstwa, nastąpiły plemienne prześladowania we Lwowie, Krakowie, Poznaniu.

W ziemiach polskich mnożyły się aresztowania z dniem każdym. Zwożono licznych więźniów do cytadeli warszawskiej, gdzie sądy zgrozliwe toczyły się bez przerwy: ucisk i trwoga przed jutrem cały ogół przybiły. Młodzież uciekała za granicę przed grozą więzienia—Kaukazu, Sybiru—potajemnie, bez pożegnania.. ażeby na rodzinę i przyjaciół niedoli nie ściągnąć.

Pamiętam—przyszedł Teofil Lenartowicz, udawał ożywienie, wesołość — przyniósł jakiś artykuł

z gazety którejś niemieckiej w duchu nader liberalnym, zadeklamował prześlicznie, pożegnał się: „Do widzenia!"—i nie ujrzałam go więcej!...

Cytadela warszawska — ów smok nowożytny, jakoby powtórzenie legendowego, zabitego przez Krakusa — przepełnioną była ofiarami. Niektórych więźniów podobno do Modlina wywieźli, innych wysłali na Sybir, by drugim miejsca przysporzyć! A winnam tu odpowiedzieć, że gdy wywożą nieszczęśliwych, biednych skazańców, są zacni i szlachetni opiekunowie, którzy już naprzód dla nich odzienie i wszelkie obmyślą potrzeby. Wywiadują się... tygodnie i miesiące pierwej, kiedy ta wysyłka nastąpić może. Czekają w dniu oznaczonym na Pradze, gdzie wysłańców bratnim żegnają uściskiem, niosąc im ostatni wyraz serdeczny na długie lata wygnania, a niekiedy i na zawsze! A Farewell for ever! jak mówi Byron.

28-go września mąż mój został aresztowanym. Ciężki zgnębił mnie smutek... Ale zarazem doświadczyłam przyjaźni rzadkiej i serdecznego współczucia.

Po strasznych wypadkach r. 1846 nikt nie chciał do teatru uczęszczać. I nieraz ktoś jakiś zastępował na ulicy, zapraszał na przedstawienie i bilet ofiarował gratis. Wszystko zaś, co zależało od policyi poszczegółowo, bywać w nim po służbie musiało.

Podobnie działo się i w roku 1849. Nie było balów żadnych, nie było zabaw tanecznych. A jeszcze jawili się przestrzegacze, którzy przez oświetlone okna—zwłaszcza gdy zadźwięki fortepian—

wrzucali kamienie z przywiązanem do nich ostrzeżeniem piśmiennem, ażeby nie tańczono. Gdy bankier Frenkiel bal wyprawił, na którym znajdowali się niemal wszyscy dygnitarze rosyjscy, otaczał dom jego, przy Bielańskiej ulicy, szereg żandarmów na koniach.

Wśród smutnych i bolesnych wypadków, działy się niekiedy i śmieszne wcale, jak to bywa zwykle przy zbyt ślepem służalstwie i wietrzeniu wszędzie rewolucyonistów.

Ksawery Norwid, brat najmłodszy Ludwika i Cypryana, gieometra, młody, przyjemny, zacny i pracą zajęty, był lubianym powszechnie. Chłopczykiem będąc, z szabelką przy boku, w kaszkieciku papierowym i szlifach szychowych, nazwano go kapitanem. Tytuł ten pozostał mu żartobliwie w rodzinie. I w ściślejszych kółkach warszawskich także nazywano go kapitankiem. W r. 1848 czyjeś duże, otwarte, czujne posłyszały to uszy: Ksawery Norwid został aresztowany, i tłomaczyć się musiał: jakim to on jest kapitanem? Szczęście, że wyjaśnienie tego żartu nie było trudnem do wytłomaczenia, inaczej byliby go pewno więzili długo.

W maju zjechał cesarz Mikołaj do Warszawy i zamieszkał, jak zwykle, w Łazienkach. Potrzebny był tamże — pour faire tableau — widok spacerujących elegantów i elegantek, zwłaszcza też w czasie odwiedzin cesarza austryackiego. Więc znowu sztuczną pod tym względem stworzono dekoracyę, że się tak wyrażę, i po ukazie musiało wiele osób, rozumie się zależnych, spacerować przed łazienkowskim pałacem. Do tych należało i Towarzy-

stwo dramatyczne, zostające pod rozkazami generała Abramowicza, oberpolicmajstra i dyrektora. Mieli darmo dorożki, które ich tam zawoziły—a winni byli występować w pięknych ubraniach i jasnych rękawiczkach!

Opowiadano, że cesarz, stojąc na balkonie z cesarzem austryackim, wskazał mu przechodzących i wyrzekł głośno: „To są moje Węgry!“ — przypuszczając, że to jest zwyczajna publiczność warszawska.

Wkrótce potem nastąpiła wojna węgierska, i krew polska obficie polała się znowu.

Miesiące biegły. Interes dla wywalczających niepodległość swoją, był w polskiej społeczności podnieconym do najwyższego stopnia. Wierzono z zapałem w pewne zwycięstwo—a bratniej życzliwości uczucie opromieniało je najpiękniejszym nimbusem, chwytano tylko szczęsne z pola boju wieści, o niepomyślnych i słuchać nie chcieli.

Byłam w przyjaznym mi domu, gdy nadszedł pan *—który, jako wyższy urzędnik, był dnia tego za interesem w Belwederze. Czekał w sali audyencyonalnej, gdzie bawili adjutanci i wyżsi oficerowie. Nagły ruch powstał, stukot, bieganie i wszedł pułkownik jakiś, okurzony, zczerniały: przybył wprost z Węgier, jako wysłaniec od księcia feldmarszałka.

Cesarz był obok w salonie, kazał mu natychmiast stanąć przed sobą, że i nie zdążył nieco kurzu z dalekiej strząsnąć podróży.

Wyrazy głośnej, żywej rozmowy, zapytań i odpowiedzi, dolatywały przez zamknięte podwoje. Po-

między któremi pan * dosłyszał wyraźnie: „Goergey seul est traitable“.

W dni kilkanaście potem, trzynastego sierpnia, oddał się Goergey pod Wilagosz z całą armią Paszkiewiczowi!

Wiadomość ta piorunem raziła wszystkich. Z cytadeli na wiwat działa zagrzmiały.

Szłam właśnie do Wójcickich. Drogę zastąpił mi p. K. i opowiadał co znaczą armatnie wystrzały.

U Wójcickich kilka zastałam osób, a nie wiedzieli jeszcze o niczem.

— Niepodobna!

— To jest pomyłka!

— Nie wierzę!—ozwano się chórem.

— Nie wierzę, aż zmierzę! — wyrzekł Lisowski.—Pobiegnę na miasto. Dowiem się i z pewną wiadomością powrócę.

— Wracaj, panie, wracaj!—wołała za nim jeszcze pani Hanna.

W pół godziny potem nadszedł, ponury, ze zwieszoną głową.

— A co? — zagadał pan Kazimierz — spuściłeś nos na kwintę.

— Goergey zdradził!...—odrzekł ze ściśnionej piersi. — Poddał się z armią całą. Skończyła się wojna. Paszkiewicz panem.

— Ale któż ci mówił?

— Spotkałem Płatonowa i zapytałem go. Przybył młody Paszkiewicz, pułkownik, jako kuryer od ojca. A jak go cesarz Mikołaj przyjął!

— Ha! Więc prawda!

Płatonow, senator, uważanym był wtedy powszechnie, jako Rosyanin zacny, rozumny, sprawiedliwy—jako człowiek honoru, Wiedziano, że jest synem Platona Zubowa. A cesarz nie chciał, by nosił nazwisko ojca. Nadto był i ożeniony z Polką, piękną panią Drzewiecką, córką szambelana Stanisława Augusta, Nowakowskiego.

Zwycięzcy powrócili w tryumfie. A niezadługo potem przybyło kilku panów węgierskich do Warszawy — i ofiarowali Paszkiewiczowi obywatelstwo honorowe w Peszcie. Chodzili po mieście w stroju narodowym.

Był pomiędzy nimi i jeden Bathyani, jakeśmy to z „Kuryera Warszawskiego“ wyczytali.

Odpowiadał mi K. K., Polak, oficer z pod generała Dębińskiego, że w chwili, gdy nieszczęsna kapitulacya zawartą została, przypadł młodziutki Węgier na koniu spienionym do obozu polskiego, zeskoczył z niego, padł na kolana i wyciągnął złożone dłonie i z jękiem zawołał.

— Polacy! Ratujcie! Ojczyznę naszą zaprzedają... zdradzają!—przechylił się nagle—padł twarzą na ziemię... serce w nim pękło!

Otoczyli go nasi, podnieśli. Jakiś sędziwy wojak przycisnął usta do jego czoła pobladłego — a wszyscy mieli łzy w oku.

Po tak stanowczym pod Vilagos tryumfie, wydał cesarz Mikołaj rozkaz, ażeby książe Paszkiewicz z najwyższemi oznakami cześci, już na granicy kongresowego królestwa powitanym został. Wszędzie wznieść miano łuki tryumfalne, aż do samej Warszawy. I miały mu być oddawane honory, jak cesa-

rzowi samemu. To rozporządzenie podobno żywo w. księcia Michała dotknęło. Właśnie zebrano się do śniadania, przed manewrami na polu marsowem. W. ks. Michał był niby wesół, żartobliwy, mówiący—i śniadał przy tem dużo. Potem dosiadł konia, i wszyscy na manewry pojechali. Nagle w. książe pochylił się na koniu i jęknął. Adjutant ujął wierzchowca za cugle — przeraziła go zmiana twarzy księcia i zawołał na powóz dworski. Przeniesiono doń księcia — który paraliżem rażony został.

W dni kilka potem zjechała z Ischii pospiesznie w. księżna Helena z córką. Książę mówić już nie mógł—ale, spojrzawszy na córkę, która przy łóżku uklękła, oczy jego łzami zaszły.

Skończył ósmego września: w rocznicę, gdy na czele wojska, r. 1831, wkroczył tryumfalnie do zwyciężonej Warszawy.

Niedościgłe są wyroki Boże!

Pochód z ciałem z pałacu belwederskiego do cerkwi przy ulicy Długiej—zatem przez całe niemal miasto—odbył się wspaniale bardzo.

Cesarz Mikołaj dnia tegoż nad ranem do Petersburga wyjechał.

Nazajutrz, po uroczystem nabożeństwie, wywieziono ciało do Petersburga, gdzie odbył się pogrzeb.

Śmierć ta i żałoba zmniejszyły poprzednio zapowiedziane tryumfy, którymi wjazd ks. Paszkiewicza powitać miano.

W tym samym podobno roku, przejeżdżał generał Lamoricière z żoną przez Warszawę jadąc

z Petersburga — i zatrzymał się przez dni parę w hotelu Angielskim—budząc ciekawość i zajęcie ogólne.

W żartobliwej pogadance zrobił Włodzimierz Wolski zakład z kilku znajomymi, że rozmówi się z generałową. Pośmiano się. Zakład stanął — a wszyscy byli pewni, że go przegra.

Nazajutrz wybrał się w eleganckiem ubraniu, z dwoma świadkami do hotelu — a mając dar powierzchowności, wyglądał pokaźnie wcale. Wiedział od szwajcara, że generałowa podobno do kościoła pojechać miała. Kareta zajechała; niezadługo służba na piętrze drzwi od salonów otworzyła; zaszeleściły suknie jedwabne, i ukazała się pani Lamoricière w pięknej toalecie paryskiej. Wolski wbiega z eleganckim ruchem po wschodach, dotyka się, przebiegając, niby to nieumyślnie sukni schodzącej damy, zrywa kapelusz z głowy, jakby ulękły nagle, i z nader grzecznym, salonowym wyrazem, ładną francuzczyzną, przeprasza za niezgrabność swoją. Generałowa zatrzymuje się także i odpowiada uśmiechnięta wdzięcznie; Wolski coś tam jeszcze nader zręcznie powiedział; generałowa odpowiada znowu; poczem Wolski skłonił się z uszanowaniem. Generałowa schodzi. Wolski towarzyszy jej aż ku drzwiom hotelu. Generałowa wsiada do karety; obejrzała się raz jeszcze. Wolski z uszanowaniem pokłonił się znowu — i znowu skinęła mu grzecznie z uśmiechem.

Rozumie się, że zakład wygrał, jaknajzupełniej.

W dni parę potem byłam u Wójcickich i mówiliśmy o tym zręcznym żarciku poety.

— Ha!—ozwał się pan *—druga anegdotka, obiegająca o generale Lamoricière po Warszawie jest mniej zabawną.

— Cóż takiego?—zapytałam.

Generałowie rosyjscy obwozili go po cytadeli, której przyjrzał się uważnie bardzo i z głęboką świadomością. Odbył jaknajściślejszy przegląd całej fortyfikacyi, położenia zewnętrznego i dalszej nawet okolicy za pomocą szkieł doskonałych. A następnie wytknął jakieś szczególniej słabe miejsce... i twierdzenie swoje wykazał. Dnia następnego wyjechał; zaraz nazajutrz inżenierowie forteczni bezzwłoczną zajęli się pracą, by błąd wskazany naprawić.

Anegdotka ta stała się głośną i powszechną. A o ile jest prawdziwą? Nie wiem.

W zimie r. 1855, zastałam takie same wieczory czwartkowe, jak dawniej. A nader rzewne przejęło mnie uczucie, gdym była na pierwszym.

Zawsze dużo i bardzo dużo bywało osób. Jedni ubyli—inni znowu przybyli natomiast. I po raz pierwszy spotkałam tamże Biernackiego, sławnego skrzypka naszego; Faleńskiego poetę — twórcę ślicznej właśnie powiastki „Z daleka i z bliska;" Jana Kantego Gregorowicza, cenionego pracownika na

niwie piśmiennictwa ojczystego, którego ludowe powiastki z ukochaniem kreślone, tyle zawierają prawdy; Kossaka, wielkiej sławy malarza; Tytusa Maleszewskiego, malarza portrecistę, cenionego już wtedy; Wilczyńskiego, powieściopisarza, humorystę, autora „Pamiętników starego komendanta," który przedstawił mi się zaraz, by zemną o Auguście pomówić; a wreszcie i Pawła Bromirskiego, szewca z Gniezna, którego proces familijny właśnie wtedy stał się rozgłośnym tyle. Bohater, jakby powieściowy, w wielu bywał salonach: stał się przedmiotem ciekawości, zajęcia, i modnym. U państwa Wójcickich na każdym czwartkowym bywał wieczorze. Zajmowali się sierotą — i polecali krewnym, zajmującym stanowiska wyższe.

Królikowskiemu Janowi i Komorowskiemu, artystom dramatycznym, opowiadać o Aldridge'u musiałam, bo ten murzyn-artysta ciekawość ich budził.

Widziałam go w kilku rolach, mianowicie też jako „Otella." I niezawodnie, że gra jego miała całkiem i jedynie li cechę namiętnego, gwałtownego Negra. Podobnego płaczu w piersiach, wrzącego, rosnącego, przemienionego w ryk boleści, pewno nie posłyszę już więcej.

Tańczono; gwar i wesele coraz szersze przybierały rozmiary. Wymknęłam się do buduaru — by tamże podumać trochę i pogawędzić jak dawniej.

Niezadługo nadszedł Wójcicki, i pogadaliśmy *jak ongi.*

— Jakżeż pani znajdujesz Jagodę? — zapytał po chwili z rozjaśnionym wyrazem twarzy.

Jagodą nazywali w dzieciństwie córkę Jadwigę—i nazwę tę zatrzymywali niekiedy żartobliwie w obec dawniejszych przyjaciół.

— Milutko rozwinęła się dzieweczka — odrzekłam.

— A z jakiem to ona życiem tańczy, co mnie cieszy bardzo.

Mówiliśmy o starszej córce, Wandzie — jej uzdolnieniu i umiejętności; o synach—i różnych na przyszłość zamiarach.

Poczciwy ojciec! Szczęsne wzruszenie, radość rodzicielska, zamiłowanie w dzieciach, ich nadzieje, przemawiają zawsze do mojego serca, i cieszę się ich szczęściem wraz z niemi — boć to, zaprawdę, najczystsze jest uczucie!

Po chwili nadeszła pani Rogozińska, najpoczciwsza pod słońcem kobieta i matka, i także mi o swojej Władysławie mówiła, której wdzięczne poezye, zamieszczane w pismach warszawskich, uwagę zwracały.

Nazajutrz odwiedził mnie stary komendant— a młody jeszcze co do wieku pisarz — i wiersz na upominek złożył mi do albumu — umilkł następnie. Zatem tą literacką pamiątką podzielę się z wami.

Gdzież jest młodość, gdzie te czary,
Co to ze serc przodków wiały?
— Dzisiaj każden młodzik stary,
Tak, jak starym ten świat cały.
I jam dawną przybrał rolę,

Zardzewiałe krwią pałasze.
Bo komendant wojak stary
Umie tylko furbeczkować,
Gdzież więc jemu szukać miary
I wierszydła komponować?!
Dajno jemu w rękę szablę
I wiarusów dawnej daty,
Przytem postaw sto tysięcy —
Albo nawet jeszcze więcej!

. . . . . .

Dawniej, Pani, lżej to było,
Wiersz się sypał, jak z rękawa;
Czy hulanka — pogadanka,
Do kielicha — czy do tańca,
Do miłości — do różańca,
Serce żywiej jakoś biło —
Inaczej się wtedy żyło!
Ale teraz? — trudna sprawa,
Wszystko zaschło na nic w człeku.
W nowomodnym waszym wieku
Ciężko szukać rozczulenia,
Kiedy życie jak z kamienia
Idzie na tym Bożym świecie.

. . . . . .

I przy takiej ciężkiej doli
Chcesz, bym wiersze mógł Ci skleić?
Wyznam szczerze, nie brak woli,
Ale kiedy serce boli
Trudno wtedy się weselić!
A więc kiedy słońce nowe
Z za chmur ciemnych wznosząc głowę,
Nasze oko rozpromieni,
Wtedy, wtedy w nowej ziemi
Wszyscy zabrzmim hymnem chwały,
Że odmłodniał świat ten cały!

Sprawa Pawła Bromirskiego w tym czasie w sądzie apelacyjnym rozstrzygniętą została. W dniu terminu salę sądową, korytarze, wschody nawet liczne przepełniły tłumy, od warstw najwyższych, aż do roboczych, przez sympatyą dla jego doli. Sąd dlań rozstrzygnął pomyślnie, wiadomość z radością zgromadzeni przyjęli, i głośne okrzyki: „Niech żyje sąd apelacyjny!" grzmotnie rozległy się wokoło. Pawła Bromirskiego, na wpół omdlałego z wzruszenia, ściskano, podawano go sobie, i o mało, że go na barki nie wzięli. Mecenasa Majewskiego, obrońcę jego, huczne spotkały wiwaty.

Paweł Bromirski, przedstawiony mi u Wójcickich, odwiedził mnie w dni parę potem, pełen serdecznej wdzięczności dla kilku osób w Poznańskiem, które słowem, sercem i czynem szczerą i niepoślednią niosły mu pomoc.

W kilku wyrazach powtórzę tu historyę jego życia tak, jak mi ją opowiedział: Niemowlęciem będąc, jako syn trzeci rodziny w obywatelstwie postawionej wyżej i majętnej, oddanym został, z powodów familijnych, tajemnych, niezrozumiałych może, na wychowanie ludziom obcym... A potem był u szewca w Gnieźnie uczniem, szewczykiem!... Po latach nie pomnę ilu i jak tajemnica wykrywać się poczęła, i wtedy niektórzy obywatele Księstwa podali sierocie rękę i proces panom Bromirskim o uznanie brata młodszego i majątek wytoczonym został.

Nie znam dobrze tej całej ciekawej historyi. Nie wiem, o ile wszystko jest prawdą, więc i w szczegóły żadne wchodzić nie będę. Ale, jeżeli tam za-

chodziły podrobienia jakie lub fałsze, to wszelako jest pewna, że Paweł w dobrej działał wierze, i nie kłamał w niczem.

Jeden z panów Bromirskich już nie żył wtedy. O drugim mówił mi:

— Serce moje rwie się do niego, ale on nie wie o tem, nie zna mnie wcale, nie wie zapewne, jak wyglądam. A ja chodzę za nim i patrzę na niego ze łzami w oczach i drżeniem serca. Szedłem tak raz za nim przez ulic parę. Skręcił na Leszno, wciąż idę, jakgdyby pociągany magnesem. Na ulicy nie wiele kręciło się osób... już, już chciałem, z płaczem serdecznym rzucić się jemu na szyję i zawołać: „Bracie mój! Bracie mój kochany! Nic nie chcę, tylko serca daj mi trochę!" Ale zaszedł mu drogę pan jakiś. Przystanęli. I jam przystanął. Tamten dumnym zmierzył mnie wzrokiem, pogardliwym... może myślał, że ich chcę podsłuchać, żem szpieg. Brat obejrzał się obojętnie, zimno... rzucił surowe wejrzenie. Pobiegłem w boczną ulicę, i o mało, żem głośnym nie wybuchnął płaczem. Serce jęczało z bólu. Och, pani! załamał dłonie, sierota odepchnięty... ten proces... jakaż... jakaż to sroga jest boleść!... A nieraz myśl się nasuwa, że to może i przeciw Bożej jest woli!... Gdybym przynajmniej chociaż raz jeden brata mógł uścisnąć!

Niestety, nie uścisnął go nigdy.

Paweł miał wtedy podobno już lat trzydzieści parę. Zbywało mu naturalnie bardzo na wykształceniu, manierach, ale zastępowała to szczególna do*broduszność prostota* szczera i prawda. Wzrostu *był słusznego, dość* zgrabny. Rysy miał zwyczajne,

cerę zdrową, włosy płowe. Utrzymywali, że był do brata podobny.

Sprawa jego przeszła do senatu, bo rodzina Bromirskich nie zgadzała się na wyrok sądu apelacyjnego. W senacie zasiadał Płatonow. Ożeniony z Polką, jak to już powiedziałam, córką szambelana Stanisława Augusta, Nowakowskiego, dziedziczką Biłgoraju w Lubelskiem, gdzie ojciec jej w parku kazał wystawić pomniki bohaterom polskim: Kościuszce, księciu Józefowi, Henrykowi Dąbrowskiemu, i innym. Dzisiaj pewnie już ich tam nie ma.

Znałam panią Płatonow, a znałam ją, jako kobietę dobrą i miłą. Będąc zatem u niej, mówiłam o sprawie biednego sieroty. Historya jego rozczuliła ją.

Później, dowiedziałam się, że proces w senacie przegranym został i Pawła od wszystkiego odsądził. Co dalej działo z biednym? Niewiem. Mówiono mi tylko, że w r. 1863, poległ w Lubelskiem w jednym z oddziałów powstańczych.

Na polach Raszyna stał pomnik—niewiadomo czyli tam pozostał dotąd, postawiony poległym bohaterom w r. 1809. Zwiedzałam go w przejeździe ongi, i ze łzami pomodliłam się przy nim, Pani HannaWójcicka wypisała mi w albumie wiersz z tegoż pomnika:

Matko Boga! co darem trwałych łask przez wieki
Dowodzisz nad koroną polską swej opieki.
Gromiąc wrogów Jej kraju, wyjednaj u Syna:
Wieczny pokój poległym na niwach Raszyna.

I przykleiła na karteczce kwiatek, który wyrósł u stóp pomnika, tak zwaną przez lud nasz kocankę, nieśmiertelnik niw polskich.

A pan Kazimierz Władysław przytoczył:

Stanisław, co nas sławy z ujmą kraju zbawił,
Janowi Sobieskiemu statuę postawił.
Koszt łożył sto tysięcy, jabym dwakroć łożył,
By Stanisław skamieniał, a Jan trzeci ożył.

Taki napis położył Kazimierz Sapieha na posągu Jana Sobieskiego w Łazienkach. Zachowaj go Pani w pamięci, bo wybornie maluje całą wartość Stanisława Augusta, którego późne pokolenia przeklinać będą ze wzgardą.

W roku 1861, z 16 czerwca, odebrałam od pana Kazimierza Władysława list, który tak przykrą zwiastował nowinę:

„W smutnej i rozpaczliwej chwili piszę do Ciebie, kochana i droga Przyjaciółko: we wtorek, 11-go bm. wyczytałem z gazet tutejszych nadspodziewanie, że mi udziela dymisyą margrabia Wielopolski dla dobra służby [1]). Wiadomość ta całkiem nieprzewidziana raziła nas piorunem. Tracę posadę, która mi przynosiła rocznie 11,000 zł. pol.— A w tej chwili jestem bez dachu!!.

Hrabia Ludwik Krasiński, był zaraz u mnie i ofiarował mi w imieniu hrabiny Augustowej Potockiej posadę bibliotekarza w Wilanowie z pensyą zł. pol. 5,000 rocznie i mieszkanie. Alem podziękował.

---

[1]) Pan Kazimierz Władysław Wójcicki, był dyrektorem *Biblioteki i drukarni* senatu.

Jestem redaktorem „Biblioteki Warszawskiej", mam tu obowiązki, pracę, a nadto wiążą mnie z Warszawą i różne inne okoliczności"...

Ta nagła i niespodzianie udzielona dymisya mężowi, który na niwie piśmiennictwa polskiego tak wielkie, tak bardzo wielkie położył zasługi; który ciągłą a pożyteczną pracą stał się wzorem godnym do naśladowania, obudziła powszechne, ogólne współczucie i sarkania głośne. Wójcicki nadto i liczną ma rodzinę.

W pierwszej zaraz chwili ofiarowali mu literaci książkę zbiorową, która w tymże samym wyszła roku, a o której wyraził się w liście do mnie, z dnia 9-go lipca 1861 roku. „Będzie to droga dla mnie pamiątka, jak puhar ofiarowany mi z inicyatywy nieodżałowanego Augusta".

Starano się przyjaźnie, a usilnie o lepszą dlań dolę: o posadę, którą i wreszcie w Towarzystwie kredytowem pozyskał.

Pozwolę sobie także dołączyć tutaj i parę małych ustępów z szacownej, poprzedniej korespondencyi pana Kazimierza Władysława:

„Warszawa, 22 maja 1851 r.

Najjaśniejszy król pruski zwiedzał dziś Bibliotekę b. Uniwersytetu, Gabinet zoologiczny i kościoły. Towarzyszy mu wszędzie hr. Henryk Rzewuski, siedzi z przodu w jednym pojeździe z królem".

Znaną jest anegdotka, która wtedy obiegała Warszawą, że gdy król Fryderyk Wilhelm IV, zapytał cesarza o charakterystykę hrabiego Rzewuskiego, cesarz mu odpowiedział dowcipnie: „Il est plus

catholique que le pape, plus russe que moi, et plus aristocrate que tous les rois".

„Warszawa, 18 lutego 1852.

Kochana i zacna Przyjaciółko nasza!

W ciężkiej Twej boleści nie mogę Ci przesłać żadnej pociechy, bo to spoczywa tylko w ręku Boga! Spełniłaś święte obowiązki żony, jakiej niełatwo można spotkać w dzisiejszem społeczeństwie. Jać to wiem tak blizko z Wami lat tyle żyjący. Wiadomość o śmierci Augusta szczególne na wszystkich uczyniła wrażenie: nie wierzono z początku tej wieści, dopiero listy Wasze głęboki wywołały smutek. Mój Boże! czyż mogłem pomyśleć, aby człowiek tak silny poprzedził mnie do grobu? Wiadomość o zgonie Augusta doszła mnie tegoż samego dnia, kiedy nasz przyjaciel Lisowski po ciężkich skonał cierpieniach, we trzy dni tylko po Auguście. Napisałem o zgonie jego do Biblioteki krótkie wspomnienie. Bądź Pani tak dobrą, i jak nieco utulisz się w boleści, opisz mi szczegółowo powody i ostatnie chwile jego, oraz tę część krótkiego życia, od wyjazdu z Warszawy. Pragnąłbym w obszernym życiorysie oddać należną cześć zmarłemu przyjacielowi, którego tak serdecznie kochałem".

„Warszawa, 9 maja 1852.

Czytaliście zapewne serdeczne wspomnienie w „Gazecie Warszawskiej", o Auguście przez J. I. *Kraszewskiego*. Ja chcę rozpisać się i wynurzyć *co mi cięży na* sercu i jakiego wart wspomnienia.

Byłem obecny czytaniu komedyi u Korzeniowskiego, jego własnej p. n. „Wąs i peruka". Jest to historyczna komedya, śliczny utwór, czysty jak łza, z myślą zacną i poczciwą. Nie może tu być graną. A będzie drukowaną naprzód w „Gazecie Warszawskiej", a potem oddzielnie w Wilnie.

A wczoraj byłem u Przeździeckiego. Czytał w licznem zebraniu Wincentego Pola „Senatorską zgodę". Ustępy śliczne, ale całość nie podobała się tyle. Gdy ją czytano, towarzystwo całe unoszące się nad wielu ustępami, zapału swego nie umiało po polsku wyrazić, tylko po francusku. Co aż śmieszyło!— Że też to tej nieszczęsnej choroby pozbyć się nie możemy! Że też z tych nie potrafimy wywyzwolić się więzów! Był obecnym i jakiś *monsieur l'abbé*, oczywiście Francuz, w czamarce, mały, czupurny, ściskający paniom końce paluszków. Myślałem, żem się cofnął o lat pięćdziesiąt.

Wiesz już Pani o śmierci poczciwego Antoniego Muczkowskiego. Umarł nagle, z palcem na ustach, jakby polecił milczenie o sobie.

Z panien wszystkie siedzą—boję się, aby rutki nie siały. Młodzież rafinuje, a panny próżno oczkami wabią. Ale, są to strzały ślepemi ładunkami do grubych murów.

A proszę na grochu uklęknąć i zmówić modlitwę na intencyę mojej chorej żony, za to żeś nas posądziła o zapomnienie. Całuję Twoje rączki i oddaję się z całą rodziną Twej pamięci poczciwej.

K. W. W.

„24 czerwca 1862.

W Roczniku moim umieszczę wspomnienie Augusta z jego wizerunkiem. Będę je pisał za dni kilka, tylko z pilnych robót się otrząsnę. Będzie przytem wspomnienie o Brodzińskim z portretem przez Piwarskiego, i o Magnuszewskim. Rękopis cały dopiero we wrześniu będzie gotowy, bo oczekuję na przyrzeczone artykuły. Tytuł będzie taki: „Album Warszawskie, rocznik literacki na r. 1853".

„28 stycznia 1853 r.

Przeździecki literackie piątki otworzył u siebie. Schodzimy się w surdutach, bo dam niema.

Julian (Bartoszewicz), obszerny ma napisać życiorys Augusta. Zbiera jego dowcipy, nie wiem, jak to obrobi".

„Warszawa 12 lipca 1855.

J. I. Kraszewski, pisząc o Powązkach, zeszyt III i IV rozbierając, wezwał Ciebie do pisania życiorysu obszernego ś. p. Augusta, i wydaniu w nowej edycyi pism jego. Kazałem zrobić portret Augusta. Będzie przy VI zeszycie Powązek".

Pomiędzy wielu innymi, wzywał mnie i nasz czcigodny dr. Karol Libelt do napisania życiorysu Augusta Wilkońskiego, ale to jeszcze jest zawcześnie.

„Warszawa 15 marca 1856.

U pani Niny niema poniedziałków. Dom zamknęli. Na ś. Kazimierza z Resursy, gdzie mnie ra*czono, zaproszony* byłem do pp. Łuszczewskich,

o 8-mej wieczorem. Pili miodem starym moje zdrowie, a Deotyma ładny ustęp o miodzie czytała. który wydrukuję w „Bibliotece Warszawskiej".

„Warszawa 10 października 1858.

Odyniec wydał „Barbarę", dramat. Wszystkie nasze pisma rozbiory ogłosiły. Ale te tuzinkowe gazeciarskie krytyki nie mogą dosięgnąć wysokości utworu. To Ci tylko powiem, że „Barbara" należy do arcydzieł literatury naszej, że po „Panu Tadeuszu" obok „Mohorta", jeżeli nie wyżej stoi. Przeczytaj, będziesz miała rozkosz duchową prawdziwą".

„Warszawa 8 stycznia 1870.

...Nie sądź, droga Pani, ażebym ja i żona zapomnieli kiedy o Tobie: w żywej pamięci zachowujemy drogie wspomnienie chwil w domu Waszym przebytych, ukochanego, Augusta. Ale coraz smutniej mi na świecie, coraz więcej cofam się w zacisze kółka rodzinnego, bo samotnieję z każdym rokiem. W krótkich latach straciłem przyjaciół, jak J. Ch. Sławianowskiego i d-ra Rakowskiego. Z dawnych zostało zaledwie kilku, a z najdawniejszych tylko W. A. Maciejowski, a drugi J. N. Leszczyński".

Niedziele u państwa Maciejowskich.

W domu Wacława Aleksandra Maciejowskiego bywały i bywają jeszcze niedzielne zebrania, niezbyt liczne, ale pod względem inteligencyi wybrane i nader przyjemne. Rozmowy poważne, naukowe, niekiedy bywają ożywione dowcipną opowieścią lub też przeczytaniem pięknej, nowej poezyi, która staje się jakoby wonnym kwiatem w urnie rzeźby dawnej, albo etrusku.

Dawniej bywał tam zawsze Antoni Muczkowski, brat Józefa, mąż wielkiej, gruntownej nauki przeczystego charakteru, skromny po nad wszystko, cichy, arcy-przyjemny w rozmowie, pięknej duszy, pełen serca, głębokiego uczucia i wyrozumienia dla drugich.

Później nie opuścił tamże niedzieli żadnej Julian Bartoszewicz. Bywali Wójcicey, Korzeniowscy, Antoni Waga sławny naturalista, Baranowski astronom, Szabrański, czyli, krótko mówiąc, cały zastęp *inteligencyi*. Z kobiet niemal zawsze Seweryna Pru-

szakowa, Józefa Śmigielska i Julia Janiszewska. A często i goście z dalszych okolic kraju i z zagranicy.

Henryk Rzewuski bywał także dość często, ale nie było bliższych pomiędzy tymi panami stosunków.

W salonie na stole można napotkać wszelkie literackie nowości. Wydania wszechstronnej wiedzy. Ryciny piękne, albumy i ciekawości różne.

Rozmowa płynie, tryska i godzin kilka przeleci przyjemnie nader i z pożytkiem.

Pani Maciejowska, Tekla z Krzyżanowskich, urodziła się w Galicyi pod Tatrami, we wsi dziedzicznej rodziców, Jazowsku. — „Ojciec jej Wielkopolanin“, jak mi mówił pan Wacław Aleksander, „zabłąkał się w Krakowie, i tam, w dzisiejszym cyrkule Sandeckim, we wsi Chromranicach, dawnem Małopolskich Aryanów gnieździe, pojął za żonę pannę Trzetrzewińską, wsi owej dziedzica córkę“. Zawsze z życzliwym, przyjaznym wyrazem na ustach, pełna naturalności, pani Tekla ma wiele wdzięku naturalnego w przyjęciu, dobroduszności, i serdecznie z nią gawędzić można.

Wacław Aleksander Maciejowski jest członkiem wszystkich Towarzystw uczonych i wszystkich uniwersytetów w całej Słowiańszczyźnie istniejących. Z Towarzystw zagranicznych ma stosunki z Kopenhagą i z Towarzystwem celtyckich starożytności, które odbywa posiedzenia swoje w St. Brienne w Normandyi.

Będąc w Gietyndze dla ukończenia studyów *swoich,* w roku 1817, przestawał z Wilhelmem i Ja-

kóbem Grimm'ami, którzy wtedy byli urzędnikami Biblioteki elektoralnej w Kassel.

W roku 1855 zbliżył się pan Wacław Aleksander znowu do Jakóba Grimm'a, Wilhelm wtedy już nie żył, i zdarzenie to opisał w „Bibliotece Warszawskiej", tom I.

„Grimm Jakób — pisze mi Maciejowski—przyjął mnie po tylu latach bardzo mile, ale rozmowa nasza nie poszła mu w smak! Przekonałem się wtedy, że to jest Niemiec całą duszą, czego mu za złe nie wziąłem, chociaż on, jak się domyśliłem, brał mi za złe, żem dał taki obrót kwestyi szewskiej, jakiego sobie nie życzył. Cóż robić? Prawda jest prawdą i kalaną być nie może. Dla kwestyi tej wpadłem w niełaskę i u innych Niemców. Dowodem tego jest pan Henryk Sybel: „Enstehung des deutshen Königthums" Frankfurt am Main 1844, str. 17, w przypiskach. Najlepiej sobie w tem poradził ś. p. Laudan: Die Territorien. Hamburg und Gotha 1854. Nie wspomniał nic o Swewach ani o mnie, choć sobie wszystko com w „Historyi prawodawstw" wyrzekł, przywłaszczył. Na podstawie tej powiedział wręcz (Die Terri. 292) „Wir überzeugen uns, dass sowohl die Germanen als die Slaven Ureinwohner des heutigen Deutschlands sind".

Mówił mi pan Wacław Aleksander z uśmiechem, że Grimm nazwał go: ein enragirter Pole. — A mnie przypomniało się zaraz wyrzeczenie tegoż na Zgromadzeniu frankfurckiem roku 1848: Wo drei Deutsche zusammenkommen, da giebt es vier Mei*nungen.* Doskonała to odpowiedź na czyniony Po-

lakom zbyt często zarzut, że są w zdaniach swoich i ideach niezgodni.

Mąż wielkiej a głębokiej nauki, badacz niezrównany historyi polskiej i prawodawstwa polskiego, z miłością, namaszczeniem i wytrwałością bez granic, lubi pogadankę, udziela się rad i poucza chętnie, ile, że jest uczynnym bardzo. O pracach swoich mówi z rozjaśnionem spojrzeniem, z ciepłem duszy a serdecznie. Mówił mi kiedyś:

— W przedmowie do VI tomu powtórzę ze Szylerem:

„Maj życia kwitnie raz tylko, tej chwili
Nic już nie wróci—ja mej młodości
szczęście dałem jej!"

— Boć też i wszystko niwie ojczystej oddałem!

I zaprawdę, że życie jego było i jest ciągłą pracą, pracą moralną, trudną a wielostronnie trudną, która jemu i cierpień wiele przyniosła!... zwłaszcza przy tak serdecznie polskiem uczuciu.

— Kiedym siedział w Gietyndze na ławach szkolnych — opowiadał mi — postanowiłem, zachwycony wykładem historyi prawa niemieckiego prof. Eichorna, napisać dzieło o prawodawstwie polskiem. Dalej od r. 1820, kiedym należał do komisyi prawodawczej Królestwa, uczułem potrzebę zgłębienia naszej przeszłości. Nakoniec od r. 1831, kiedy po upadku powstania rozpacz zajęła serca wszystkich... aż do chwili, w której zacząłem nowo zupełnie przerobione drukować dzieło moje, żyłem tylko niem

i do niego ustawicznie zwracałem swe myśli. Wy starczyło mi za rozrywki wszelkie, zabawy, przyjemności... Wszystko nawet, com prócz niego pisał, było tylko przygotowaniem do lepszego zgłębienia głównej myśli, a myślą to było życie dawnej Polski, biorąc ją w całym ogromie od Odry aż do Dniepru i Dźwiny. I z życiem tem innych Słowian porównywając życie. A dopiero po wydrukowaniu tej pracy odetchnąć nieco, by... pracować dalej, zająć się dalszym ciągiem „Piśmiennictwa" i Polski pod względem obyczajów. Ale starość nie radość! Nie wiem czy się życzenia spełnią.

W jednym z listów swoich, z 4 lipca 1857 r. wspomina szanowny autor: „...W tych dniach rozmawiałem z jednym z dawnych pułkowników naszych, świeżo wracającym z Paryża, który dziwy o tamecznym stanie rzeczy opowiada.

— A tej piosenki jaki koniec?—zapytałem go.

— Bóg to wie — odrzekł—ale smutny koniec będzie.

Przeczytałam list ten niedawno, a ten ustęp, jakoby proroctwo dzisiejszych strasznych wypadków, uderzył mnie szczególniej, żem i pominąć nie mogła.

Za pozwoleniem znakomitego autora, zamieszczę tutaj z jego listów szacownych kilka ważniejszych wyjątków.

„Warszawa, 10 kwietnia 1859 r.

„...Za parę tygodni, da Bóg, wyjdzie tom III *„Historyi prawodawstw słowiańskich"*, który rzecz *całą aż do XIV* wieku zupełnie kończy. Tak więc

dzieło moje do połowy dokonane zupełnie. Odtąd aż do konstytucyi 3 maja zaczyna się nowa materya, na pierwszej seryi oparta. Serya ta (tom I, II, III „Historyi prawodawstw)" wykazuje granicę cywilizacyi Zachodu a Wschodu, północnej i środkowej Europy, czyli Niemiec dzisiejszych, i wykazano, jak różnej narodowości ludy, dawną Germanię zamieszkujące, pociągnięte werniksem: niemiecką mową, utworzyły aglomerat ludów, w którym dotąd dwa różnorodne spostrzegać się dają żywioły: szwabski i saski. Wykazany żywiołów tych do Słowiańszczyzny stosunek, i stosunek ich do Litewszczyzny w dwóch następnych dzieło kończących wykaże się tomach. Jeżeli Pani chcesz wskroś narodowości niemieckiej przeniknąć ducha, rozważ prawo rodowe w III-m wyłożone tomie, a mianowicie małżeństwo na str. 25—26, 297—302. Tudzież rady na str. 396—400 spisane. Dotąd nawet przebijają się tego w charakterze Niemców ślady. Chociaż już przed wiekami (w I m nawet po Chrystusie wieku za czasów „Tacyta)" charakter złagodniał wielce w dawnej Giermanii przez zetknięcie się Normanów z masami ludów, z których się następnie rozwinęli Sławianie. Chcesz-że też poznać pierwiastkową ludzkość, rozważ w temże dziele (str. 366—396) prawa kaukazkich ludów przez pewnego Kabardyńca spisane niedawno temu na miejscu..."

„Warszawa, 14 lipca 1859 r.

„Coś to tam niby zalśniły jakieś pobłyski na Sejmie Berlińskim, co mi się jednak nie zdało. Bo mam przekonanie, że krzyżackie państwo w niczem

doli naszej, chyba mimowolnie, nie polepszy. Cała więc nadzieja w nas samych spoczywa i jeszcze czas do jej spełnienia, byleśmy szczerze chcieli. Wewnątrz się wyrabiajmy, uzbroiwszy się w cierpliwość świętą, której świetny przykład dali nam Włosi. Kiedy im zajaśniała gwiazda nadziei i według wszelkiego podobieństwa do prawdy nie spełznie na niczem, to i nam też zajaśnieć może i zajaśnieje, w co wierzę mocno. Pracujmy więc, czytajmy, piszmy i rachujmy. Dziwna, że w ostatniem małe dotąd uczyniliśmy postępy; nie możemy, widzę, pojąć tego, że dwa razy dwa, cztery, a nie osiem, jak my rachujemy i myśląc, że mamy osiem a nie cztery, w stosunku tym wydatki nasze czynimy. Lepiej od rachunków idzie pismo, ale cóż, kiedy znowu brak zaczyna być takich coby czytali..."

Obok tak wielkiej, głębokiej nauki i pracy zajmują pana Wacława Aleksandra, co podziwiać należy, i utwory literatury lekkiej. Przesłałam mu ongi trzy moje powieści: „Irenę", „Panią podkomorzynę" „Obrazek poznański", wedle żądania na ręce syna jego do Mazewa pod Łowicz. I otóż co mi napisał:

„Czekały mnie tu powieści Pani, obszedłszy wprzódy połowę ziemi Łęczyckiej, wypożyczane do czytania. Teraz, przybywszy na wieś, dopadłem ich przecie i odczytałem. Niewymownie mi się podobały wszystkie trzy. Pani masz odrębny sposób pisania, który do serca przemawia czule... Pragnąłbym teraz, żebyś Pani wystąpiła z podaniami *i wizerunkami* wielkopolskiemi, w którychby, szkicując *obrazki ziemi* i ludzi (w ten niby sposób co

ja w „Polsce pod względem obyczajów", historycznie rysowałem całą Piastowską i Jagiellońską Polskę). Przysposobiłabyś materyałów dla przyszłego etnografa i powieściopisarza historycznego, a tymczasem dałabyś w rękę zajmujące i uczące obrazki, bo teraźniejszość opisujące wiernie. Taki „Werda", taki „hubiarz"[1]), na którego się dziś patrzymy, będzie kiedyś jeszcze więcej interesującą figurą aniżeli dziś, bo obecnie mamy Werdów, a w przyszłości nie będziemy ich mieli „tak", lecz „inaczej' zabiegłych. (Werda, to pruski Szwab... protoplasta jego w „Piśmiennictwie" tom III popatrzeć w regestrze). Tym sposobem uniknęłabyś Pani przykrości... a dogodziłabyś potrzebie; bo zaprawdę, nie wiedzieć zkąd czerpać materyałów do powieści, jakiej potrzebujemy. Gdyby był w ten sposób opisywał nam Galicyę pan Kaczkowski, byłby większą zrobił przysługę, niż pisząc intrygowane powieści. Zechciej Pani wziąć się do rzeczy, rzuć okiem: 1) na historyę Wielkopolski, odrębną od Małej Polski, fizyognomię mającej; 2) na postać jej ziemi; 3) ludzi polskiego; 4) niemieckiego szczepu; 5) żydów; 6) księży; 7) panów, szlachty, ludu; 8) mężczyzn i niewiast i t. p. A napiszesz dzieje i romans, bo rzeczywistość w ozdobnej przedstawioną szacie zawierający".

Otóż chciałabym i pragnęłabym z duszy posłuchać wezwania i pójść za radą znakomitego męża—ale, podobno, że siły zbyt słabe po temu. Za-

---

[1]) Postacie z powieści mojej „Obrazek poznański".

mieściłam tutaj ten ustęp umyślnie, by do pracy tak pożytecznej i pożądanej zdolniejsze zachęcić pióro.

Przyczyni się pod tym względem bardzo pan Oskar Kolberg, który już powtarzane razy w księstwie bawił i z nieporównaną pracą i troskliwością bada, śledzi, zbiera aż do najdrobniejszych szczegółów obyczaje i zwyczaje ludu, piosnki, przysłowia, dykteryjki wszelkie i podania.

W roku 1861 dnia 24 kwietnia, rozpisując się o stosunkach księstwa, pisze mi Maciejowski:

„... Zwracam uwagę na to, że nasza w tem wina, że Niemcy bezczelnie utrzymują, iż jesteśmy obcymi na ziemi naszej. Przekonani inaczej w duchu, szerzą fałsze dla otumanienia publiki, której my z błędu wywieść nie staramy się. Zbadałem rzecz troskliwie przez lat czterdzieści z okładem i przekonałem się o tem, że Niemcy napływowym są tak od Rzymian zwanej Giermanii, ze Skandynawii ludem i że po tysiącach lat zdołali wreszcie powlec wszystko jednym werniksem (mową!) ale istoty rzeczy ukryć nie zdołali. Dotąd powierzchownie nawet uważając ich, widzimy być mięszaniną ludów najrozmaitszej narodowości, w której najwydatniej wyrażone są typy dawnych Sławian. Roku zeszłego podróżowałem po Niemczech i z tamecznymi uczonymi rozprawiałem o tem. Widziałem po ich twarzach, że wypadek mych badań nie podobał się im, ale mniejsza o to: idzie tu bowiem *o prawdę* historyczną. Artykuł o tej prawdzie *podałem do „Czasu"* krakowskiego (z roku zeszłego

1860, nr. 191). Potrzeba, ażeby rzecz tę powtarzać jaknajczęściej".

Państwo Maciejowscy wyjeżdżają niemal każdego lata do wód i za granicę, a część lata przepędzają w Mazewie pod Krośniewicami. To też, gdy do Warszawy w jesieni powrócą, na niedzielnych wieczorach zbiera się liczniejsze grono osób, by ich po podróży powitać.

Poczciwy, zacny Julian Bartoszewicz bardzo do nich był przywiązany. Kochali go też nawzajem i dotkliwie śmierć jego uczuli: jako przyjaciela, jako męża wielkiej pracy naukowej, wielkich zasług w kraju, przewielkiego hartu duszy. A zabiła go praca i walka z życiem, w poczuciu szlachetnie i wysoce pojętych obowiązków obywatela-Polaka. A była to dziwna natura: dziwne połączenie hartu nieugiętego ze szczególną miękkością uczucia i brakiem woli w drobnych rzeczach.

Na dni kilka przed wielkanocą r. 1855 przyszedł do mnie szczególniej chmurny i kwaśny.

— Cóż jest panu?—zapytałam.

— Ej, bo to!...—machnął ręką—chcą mnie na święta zabrać w Płockie, a ja nie mam ochoty. Radbym pozostał w domu, przy żonie, z dzieckiem, z państwem... Boć i pani odjedziesz i Bóg wie kiedy tam zobaczymy się znowu!

— To pan nie jedź! Powietrze zimne, słotne, także do wyjażdżki nie zachęca wcale.

— A naturalnie! jeszcze i cierpię na reumatyzm.

— Więc pan pozostań!

— Toćże chcę koniecznie. Ale mnie nachodzą, męczą i odpoczynku nie dają.

— Zastaw się pan niezdrowiem, żoną i małym Szczęsnym.

Synkowi dał imię Szczęsny. A było to ładne chłopię. I gdy go kto podrażnił, mówiąc: „Tyś nie Polak!" to aż piąstki kulił i wołał: „Polak! Polak!"

Mówiliśmy o czem innem. A gdy pan Julian odchodził, napomniałam go raz jeszcze, ażeby z nami pozostał.

— Toćże jabym rad... ja chcę zostać... Ale nie wiem, jak się wywinę.

Nazajutrz spotykam panią Maciejowską.

— Wie pani—zagadała—dokonaliśmy tego, że Bartoszewicz nie wyjedzie z Warszawy: powietrze fatalne i gotówby zachorować. Żona jego była u nas i prosiła, byśmy na to wpłynęli. Mąż mój więc poszedł do nich. Nie zastał go, lecz napisał do niego: że jest potrzebą nieodzowną, ażeby nie wyjeżdżał z Warszawy.

— Och, to bardzo dobrze!

— Dziś mąż mój spotkał panią Bartoszewiczową i była wielce uradowaną: list ów jaknajlepszy sprawił skutek. „Bogu dzięki! Bogu dzięki!" powtarzał Bartoszewicz ucieszony nim „tem się zastawię, oprę się i nie wyjadę!" Sam jest za słaby i pozwoli wszystko ze sobą zrobić; a jeszcze też gdy kogo polubi, tak jak pana Gustawa Waliszewskiego, który właśnie głównie do tej wyciąga go podróży.

W niedzielę zebraliśmy się jak zwykle u państwa Maciejowskich.

— Państwa Bartoszewiczów jeszcze niema? — *zapytałam, oglądając* się po salonie.

— Wyobraź pani sobie, że Julian jednak pojechał!—zawołał pan Wacław Aleksander. Zajechali po niego, wsadzili go do powozu i zabrali z sobą... Żona aż się rozpłakała.

— Gdyby sam o sobie w tej podróży był radzić musiał, to nie byłby pojechał—ozwał się jeden z panów.—Bo kiedyś wybierał się gdzieś tam koleją żelazną pojechać, stanął szczęśliwie na dworcu. Poszedł, by bilet kupić—już nieco kwaśny, że sam po niego pójść musiał. Przy kasie był ścisk wielki. Stanął na uboczu, czekał... coraz chmurniejszy. Wreszcie zniecierpliwił się ostatecznie, nacisnął czapkę na uszy i... do domu powrócił, znudzony czekaniem i zniechęcony trudem.

— I nie pojechał wcale?—zapytałam.

— Nie pojechał, bo nie mógł się po bilet docisnąć, jak się tłomaczył.

Gdy powrócił po świętach i łajaliśmy go, że słowa nie dotrzymał i dał się uwieść odrzekł:

— To cóż ja miałem począć, kiedy mnie gwałtem zabrali. Przecież nie chciałem...

Najpoczciwszy z poczciwych, z żelazną wytrwałością i nieugiętą w postawionej raz opozycyi w życiu publicznem. Niezachwiany w raz wyrzeczonej zasadzie. Upornie stojący przy tem, co raz wyrzekł w której z prac swoich, gdyby nawet i przekonania był nabrał innego, to stale przy pierwszem obstawał zdaniu. Natomiast w życiu domowem i kółku prywatnem był słabym i podległym jak dziecko. Tkliwego serca, przyjacielem być umiał i w smut-

ku każdym szczere i prawdziwe niósł współczucie. Prawdę ukochał i przewodniczyła mu wszędzie i zawsze.

Na niedzielnych wieczorach u państwa Maciejowskich brak obecności jego zapewne dał uczuć się bardzo—tak tam wszyscy nawykli do jego poczciwej twarzy.

Państwo Korzeniowscy.

Nadzwyczajnie gościnne i serdeczne było przyjęcie w domu państwa Korzeniowskich.

Radca stanu, generalny wizytator szkół wszystkich w królestwie, a dawniejszy profesor w Krzemieńcu, Kijowie, Charkowie nie był tak bardzo lubianym i popularnym w Warszawie, jakby spodziewać się można. Bo uważano w nim pewną dumę, mianowicie też wobec podwładnych; lekceważenie drugich i nie sympatyczność.

Co do nas jednakże, którzy znaliśmy go bliżej, tłomaczyliśmy wcale inaczej to, co inni w nim przyganiali, czem sobie niejednego naraził a naraził na zawsze. Przejął, zostając przez lat tyle w ciągłej służbie rządowej, zwłaszcza też w Charkowie, mimowolnie i mimowiednie pewne formy, zwyczajne i konieczne niemal w hierarchii urzędniczej w Rosyi. Gdzie drobiazgowe stopniowanie społeczne staje się *nieznośnem* a niekiedy i najwyższej sięga śmieszno-

ści [1]). Więc i przylgnęły do niego one formy, które w młodszych latach zapewne nieraz jego polskie, inaczej nawykłe, raniły uczucie. Był chorobliwy, cierpiący, znużony pracą i życiem, kłanianiem się niby to wyższym, znękany chorobą piersiową, bolejący zapewne i nad całym ogółem kraju, zatem często nie przystępny dla wielu, zniechęcony i kwaśny. A jeszcze też, gdy mu literacką przerwano pracę, która dlań wielką była osłodą.

W domowem pożyciu, o ile go poznać miałam sposobność, był cichym, łagodnym, czule kochającym rodzinę. Wesół, pożartować lubił, a nie żalił się nigdy i raczej zawartym był w sobie. A czynił wrażenie człowieka, który we wnętrzu własnem jest zgodny a spokojny, który sobie powiedział: „Spełniam obowiązki swoje, jakie mi przekonanie moje wskazuje.“

Kochał Polskę! Widziałam go płaczącego jak dziecko, gdy polską, tkliwą posłyszał piosenkę. Kochał ale... w niezależną przyszłość Polski nie wierzył, chybaby tam kiedyś... znać zbyt gorzkiemi, bolesnemi nauczony zawodami. I to jemu bardzo za złe poczytywano, nie rozumiejąc tej zbolałej duszy, bo łez jego przy polskiej nie widzieli nucie, tak, jak myśmy je widzieli.

Nie chcę bronić Tadeusza Bezimiennego bom wcale tendencyi jego nie rozumiała. Wyznać tylko potrzeba, że jest tak opracowanym, jak mało po-

---

[1]) Wszakżesz to stopniowanie i po śmierci istnieje, bo *na cmentarzach* ziemia jest podzielona na kwadraty, a każde *go wedle rangi jego* chowają.

wieści w ogólnym zbiorze literatur wszystkich. I szkoda onego wysokiego artyzmu dla takiego przedmiotu! Niewłaściwie także powieść ta była drukowaną w „Gazecie Warszawskiej“ która przez rąk tyle i rączek przechodzi. „Krewnych“ mniej jeszcze pojęłam. Wierzę wszelako, że uczuciem Józefa Korzeniowskiego wsteczne nie powodowały dążenia. Ale i w „Krewnych“ jakaż tam praca, jaka sztuka i drobiazgowa świadomość obrabianych przedmiotów.

Pamiętam, mówił mi w Salzbrunnie w ogrodzie przy Komecie, w poufnej gawędce.

— Mam w projekcie napisanie powieści p. t. „Krewni“. Wykażę w niej, jak to właśnie krewni wpływają niekiedy szkodliwie, niegodnie, zdradnie na los pokrewnych swoich, choćby i najbliższych: obedrą ich z majątku, całe zwichną im szczęście, przyszłość, wiarę, poczciwe ich dążenia zniweczą, dobrą zniszczą sławę... a wreszcie i zdemoralizują.

Z wielkiem przeto zajęciem pochwyciłam powieść „Krewni“, gdy wyszła, ale nie znalazłam tego, czegom się spodziewała. „Tadeusz bezimienny“ i „Krewni“, jak wiadomo, srogą wywołali krytykę, która zapewne wiele goryczy a nawet i bólu szanownemu przyczyniła autorowi.

O „Tadeuszu Bezimiennym“ nie mówiłam z nim nigdy, czego dzisiaj żałuję. Byłby mnie objaśnił zapewne. Po wyjściu „Krewnych“ już go nie widziałam.

Znamienity dramaturg i powieściopisarz, mąż wielkiej wiedzy i artysta jakich mało, nieraz wziął mnie za rękę, posadził przy sobie, mówił mi o pra-

cach swoich niekiedy o planie do jakiej nowej powieści, z dobrotliwością szczególną. I opowiadał pomiędzy innemi, że zwykle wszystko ołówkiem pisze, a potem przepisuje dopiero.

Wymieniono raz czyjeś nazwisko nieco dziwnie brzmiące.

— A! — zawołał, pochylając się ku mnie, to jak gdybyśmy je byli skomponowali, pani albo ja.

W bliższem kółku miał pewną patryarchalność w przestawaniu — to także nie podobało się wielu, bo już uprzedzeni byli. A co mnie jednakże pociągało serdecznie, toż samo i Augusta.

Zarzucano mu nawet, że najczęściej nie uchyli kapelusza wcale, spotykając na ulicy znajomych i tylko głową kiwnie, Mogło to być ale z prostej bardzo przyczyny: że był cierpiącym fizycznie. Nie spostrzegłam tego nigdy—bom i nie zważała na to.

W końcu kwietnia 1855 r. powietrze było fatalne ; zimne. Wychodzę na Krakowskie-Przedmieście i spotykam pana Korzeniowskiego w futerku. Uśmiechnął się, ujął rękę moją oburącz, jak zwykle i odciągnął mnie nieco z chodnika, aby pogawędzić chwilę.

— Co to pan futrem straszysz wiosnę? zagadałam.—A gdzieś pani widziała wiosnę—odrzekł.— Zima to jeszcze, zima i błogo w kożuszku.

— Prawda, że mamy tylko nadzieję wiosny i lata. Nadzieję z dnia na dzień, jak wszystkie nasze nadzieje...

— At!—machnął ręką.

Pogawędził jeszcze, pożartował trochę, wezwał, *bym przyszła* do nich na wieczór — uścisnął

mi rękę i poszedł ku domowi, a mieszkali wtedy w kamienicy Grodzickich, na Krakowskiem Przedmieściu.

W tej chwili znajoma powitała mnie pani, mówiąc:

— Że też to ten pan Korzeniowski nie zdejmuje czapki.

— Nie zważałam na to — odrzekłam — bośmy się za ręce ścisnęli.

— Ale to jest niegrzecznie.

— Jeżeli nie zdjął czapki, tłomaczę go jak najzupełniej: jest cierpiący, a odkrycie głowy przy zimnie i wietrze i zdjęcie nagłe ciepłej czapeczki, może być szkodliwem bardzo.

— Ależ tego grzeczność wymaga.

— Powiedzmy raczej, że takie odkrywanie głowy należy jeszcze do barbaryzmów dziewiętnastego wieku — wymówiłam, śmiejąc się w duszy — i że przy wyższej cywilizacyi, po latach kilkudziesięciu, pozbędą się tej formułki niewygodnej, która głowę zaziębia i przez ciągłe chwytanie kapelusz niszczy. Można przecie pokłonić się ręką, albo skinieniem.

— Pani tak sądzisz?

— Tak pani.

— Do zobaczenia!

— Do widzenia!

Pani Monika Korzeniowska była nader poczciwą mamuńcią i gospodynią domu wzorową. A córką znanego malarza Vogla, którego dwa zwłaszcza historyczne obrazy: jeden, gdy car Paweł I. oddaje szpadę Kościuszce, Niemcewiczowi i wszystkim jeń-

com polskim wolność przywraca; a drugi, przedstawiający zamordowanie nieszczęśliwego Iwana na rozkaz Katarzyny II w Schlüsselburgu, pozostały mi w żywej pamięci. Spotkałam się z niemi w domu państwa Klemensów Wilkońskich, u brata męża mojego, w Górźnie w Lubelskiem i przypatrywać się im lubiłam. Dziś te obrazy już są podobno rzadkością.

Starsza córka państwa Korzeniowskich, dzisiejsza pani Falkenhagen-Zalewska, była pociągająca wdziękiem urody, łagodna i pełna słodyczy. Przyjaźniła się wiele z panną Bronisławą Karską, późniejszą panią Łączyńską, osobą wyższej umysłowości i bardzo powabną. A ładnie im było razem, stanowiły niby obrazek dwóch Leonor północnych, bo obiedwie były blondynki.

Młodsza córka, Hanna, dzisiejsza pani Karolowa Witte, nieco silniejszej od siostry postaci, ciemniejszych włosów, rysami twarzy była więcej do ojca podobna, z pewnym wyrazem energii. Rozumna, żywa, praktyczna, pociągała mnie bardzo. Należała do kilku dobroczynnych zakładów. Mianowicie była czynną i naśladowania godną w zakładzie św. Marty, zostającym pod szczodrobliwą opieką hrabiny Augustowej Potockiej. Odwiedziałam ją tam razy parę w czasie jej dyżurstwa z prawdziwą przyjemnością. A przyjaźń moja dla niej zwiększyła się jeszcze.

Synów było trzech: najstarszy Zygmunt umarł na cholerę r. 1853. Hipolit znany jako znamienity lekarz. Władysław jako sumienny urzędnik.

Przyjęcie w domu państwa Korzeniowskich

powtarzam, było nader serdeczne, a pobyt z niemi nader miłym.

Pamiętam, że gdy raz zaprosili nas na obiad o godzinie 1-szej po południu, bo pan domu dla zdrowia nadwątlonego tej ścisłości przestrzegał, nie wróciliśmy do domu, aż po 1-szej po północy.

Po wyśmienitym obiedzie była raźna pogadanka. Dalej muzyka. Hania śpiewała, tańczyła z braćmi. Doktór Hipolit dowcipkował, i czas płynął szybko. (Marja już wtedy była zamężną). A gdyśmy odchodzić chcieli, odzywał się gospodarz:

— Jeżeli wam tu dobrze, to nie odchodźcie. Jeżeli się nudzicie, to was zatrzymywać nie będziemy. Ale żal nam sprawicie.

Więc zostaliśmy chętnie.

Na kawę przyszło osób parę, a na herbatę kilkanaście.

Poznałam tam także panią Leontynę Halpertową, znakomitą artystkę sceny warszawskiej, dawniejszą Żuczkowską. Była niemal piękną jeszcze: wysoka, dość dobrej tuszy, ale kształtna, poruszała się z gracyą. Rysy twarzy miała regularne. Uśmiech pełen wdzięku, a ponad wszystko głos dźwięczny i melodyjny. Może jej zbywało nieco na uroku prostoty, bo raczej wszystko w niej było do artyzmu posuniętem. Rozmowa ożywiona, dowcipna, także może z pewnym nastrojem sztuki, lecz podobać się musiała. Znać i czytała dużo.

Z Wójcickiemi żyła rodzina Korzeniowskich na przyjaznej stopie.

Na poniedziałkowych wieczorach bywali wiele.

Z Henrykiem Rzewuskim, Józef Korzeniowski podobno nie lubili się wzajem.

Starsza córka, Marja, była z matką w Karlsbadzie roku 1850, i wznowiła się tamże znajomość z panem Falkenhagen-Zalewskim, mieszkającym naówczas w Londynie. Piękna i powabna Marja, którą znał dziewczątkiem w Krzemieńcu, od razu serce jego zajęła. Za nim wszystko mówiło, więc i małżeństwo ułożyło się rychło.

Panie wróciły do Warszawy. A potem pojechała pani Korzeniowska z Marją na ślub do Drezna.

Spotykam na ulicy pana Korzeniowskiego z Hanną. Zatrzymał mnie i mówi:

— Jutro jest ślub córki naszej Maryni w Dreźnie z Zalewskim. Westchnij pani o szczęście mojego dziecka!—miał łzy w głosie i na źrenicy.

— A któżby się nie pomodlił o szczęście ślicznej i dobrej Marylki!— odrzekłam.

— Zakupiłem mszą św. u Karmelitów. Pójdziemy z Hanią. Ale ciężko mi na sercu, że na ślubie nie będę. Boża wola!

Pan Falkenhagen - Zalewski był wychodźcą, a p. Józef Korzeniowski wysokim urzędnikiem. To więc tłomaczyło, że nie pojechał. Biedny, poczciwy, kochający ojciec! Żal mi go było szczerze. „Moje dziecko!“ „A co mojemu dziecku, bo niby pobladło trochę?“—jak gdybym słyszała go jeszcze, gdy wdzięczna Marja nieco wyglądała wątło.

Ślub odbył się z rana w kościele katolickim w Dreźnie. Oblubienicę prowadził do ołtarza pan *Hipolit Turno* z Obiezierza, z Poznańskiego. A zacni

jego rodzice, panny Marja i Ludwika, siostry, i panna Adina Turno byli świadkami obrzędu i zaślubionej parze serdeczne złożyli życzenia.

Warszawę, Poznań, wychodźtwo, połączyła chwila sakramentalna w grodzie Augustów saskich.

Znamienity dramaturg i poeta, napisał mi w Albumie, jeszcze w r. 1844, gdy chwilowo odwiedził Warszawę:

Pamięć! — to święta człowieka skarbnica,
W niej świat miniony, nietknięty spoczywa;
W niej żyją rysy kochanego lica
I głos znajomym dźwiękiem się odzywa.
I teraźniejszej chwili błyskawica
W niej się rozświeci—gdy serca potrzebą
Wyzwana, przyszłe ma rozjaśnić niebo.

W roku 1855, byliśmy razem w Salzbrunnie. Zjechała tamże i pani Marja, niewidziana od lat kilku. A jakież czas ten przyjemne pozostawił wspomnienie.

Pozwolę sobie z listu sędziwego przyjaciela, z dnia 19 kwietnia 1859 roku, maleńki przytoczyć ustęp:

„Miły liścik kochanej pani, za który serdecznie dziękuję, przypomniał mi tyle chwil razem spędzonych i cofnąwszy o lat kilka, przynajmniej choć trochę odmłodził. A fatalnie zestarzałem się i myślą i siłami. A nie mogę się uleczyć z nałogu pijackiego, który mnie trapi, to jest, z pisania, choć już nudzę.

Serdecznie ubolewamy nad stratą pani Tyszkiewiczowej. Ale któż nie poniósł strat w życiu

swojem! Tylko, że ta cięższa nad inne, bo to było dziecię jedyne. Gdy ją pani zobaczy, racz nas wszystkich przypomnieć jej sercu i pamięci. Sama zaś pani o nas nie zapominaj, i od czasu do czasu chciej nas obdarzyć swem pismem. Odwdzięczyłbym się każdym razem, gdybym umiał tak pisać listy, jak to umieją kobiety. Ale cóż, kiedy nam Pan Bóg tego nie dał, nam wszystko idzie, jak z kamienia"...

Państwo Korzeniowscy mieli bardzo obszerne koło znajomych i rozległe towarzyskie stosunki.— A bywali zapraszani na wszystkie bale i recepcye całej *haute volée* warszawskiej.

W czasie lata mieszkali zwykle w Wilanowie. Odwiedziliśmy ich razy parę w tej pięknej siedzibie, tyle i tak drogocennie po Janie III pamiętnej. Niemal dnia każdego pod wieczór mieli gości z Warszawy. I była to pora wskrzepiania sił i wytchnienia wielkiej pracy autora.

Przebywali zawsze u państwa Korzeniowskich Karolowie Wittowie. On był wychowańcem pana Józefa Korzeniowskiego jeszcze w Krzemieńcu, i niósł mu za ojcowską opiekę i troskliwe wychowanie, miłość syna i wdzięczność najserdeczniejszą.

Pan Karol Witte, zdatny, zabiegliwy, z hartem i wytrwałością, wziął się po razy parę do arcytrudnego w Warszawie zawodu redaktora dzienników, ale bez powodzenia. A następnie był przez lat wiele stałym współpracownikiem „Gazety Warszawskiej". Utrzymywał pensyą chłopców, jedną z najlepszych w Warszawie, z wielkiem staraniem i su-

miennością. Potem zwinąć ją musiał... A w r. 1863 i jego Sybir nie minął.

Żona jego, Antonina z Karczewskich nader miłą i dobrą była osobą. Umarła w roku 1857. A pan Karol ożenił się w lat parę później z panną Hanną Korzeniowską.

Bywały i u państwa Wittów miłe wieczorki, na których spotykało się zawsze całą redakcyą „Gazety Warszawskiej": Antoniego Lesznowskiego, Józefa Keniga, Konstantego Pathié, Józefa Ćwierczakiewicza, Walentego Zakrzewskiego i t. d. A bywali państwo Korzeniowscy i Wójciccy.

Pamiętam, na jednym z tych wieczorów rozprawiano wiele o „Listopadzie" Rzewuskiego, który ukazał się co tylko. Wójcicki przeczytał jeden z mistrzowskich ustępów. I znowu powstały zdania różne, pochwały i uwagi.

Siedziałam zamyślona, gdy Lesznowski przysiadł się do mnie.

— Pani jeszcze nie wyrzekłaś i słowa, zagadał, a cóż pani powiesz o „Listopadzie?"

— Maluczkim być tylko może sąd mój w obec takiego utworu—odrzekłam—ale powiem: porywa mnie, nęci... malowniczość obrazów i życie w tamte przenosi czasy, i wyobraźnią rozpłomienia, ale...

— Ale co?

— Instynktowo lękam się poza cudnemi listkami róży, kolców ukrytych.

— Instynktowo! Tak, tak... Przypisków!!— Dałaś mi pani prawdziwie z niewieściem poczuciem odpowiedź, à la Gretchen we Fauście.

Och te przypiski!! A nie było podobno powie-

ści, któraby tak ogólną całej czytającej publiczności zbudziła uwagę, jak „Listopad". Dowód najlepszy, że biegł z niej prąd, który miał być wpływowym.

„Listopad" został przełożonym na język niemiecki przez Jeżewskiego i wydanym w Berlinie p. t. „Der Fürst Mein Liebchen", co ma znaczyć „Panie kochanku". Książe Karol Radziwiłł nie jest jednakże jedną z głównych postaci w tej powieści raczej dodatkową tylko. To i zkądżesz ta nazwa?! która poniekąd i niekorzystnie przeinacza utwór Rzewuskiego. Przypiski pozostały się naturalnie w całej wydatności. Nie znam wprawdzie tłomaczenia, alem czytałam w jednej z recenzyi, zdaje mi się, w „Blätter für literarische Unterhaltung", że: Der Fürst Mein Liebchen war der letzte Starost (?) Polens so wie Graf Rzewuski der letzte historische Romanschreiber ist". I że obadwaj o losach Polski najprawdziwsze wyrzekli zdanie. To jest: że istnieć przestała!!! Sądzićby nawet z tej recenzyi można, że sprawozdawca zrozumiał orzeczenia w przypiskach zawarte, jakoby wyszłe z ust księcia „Panie kochanku", tego ostatniego starosty kraju, który według niego w dziejach świata zniknął.

Tłomaczenie ma być pięknie. Ale publiczność czytająca w Niemczech, która spotkała się z historycznym romansem „Der Fürst mein Liebchen", zapewne obojętnie ten znamienity przyjęła utwór, bo ją nudził. Zatem w szerszych kołach przebrzmiał bez echa. Inne to ongi wrażenie sprawiały romanse historyczne Aleksandra Bronikowskiego.

Król Fryderyk Wilhelm IV, któremu tłomacz

Listopada ofiarował egzemplarz swojego przekładu, otrzymał zań pierścień brylantowy.

Rzewuski był niezmiernie dotkliwym na sądy i zdania mianowicie też co do „Listopada", a pochwały cieszyły go bardzo. Nieraz przyszedł umyślnie, by nam list jaki przeczytać, w którym pochwalono ten utwór, nie tylko takie listy, jak Michała Grabowskiego, Agenora Gołuchowskiego i t. p., ale i ludzi nieznanych. Każde zdanie pochlebne uszczęśliwiało go zaprawdę.

Otrzymałam śliczną „Rozmowę", którą ś. p. Józef Korzeniowski zapisał Apolinaremu Kątskiemu w Albumie, i pozwolę sobie zamieścić ją tutaj:

„Rozmowa".

— Czy słyszałeś Kątskiego?
— Ach! kochany panie!
— Cóż tedy? Dziwna biegłość, nadzwyczajne dźwięki.
— Na dźwięki mój łaskawco, niejednego stanie.
Ten zadziwi cię siłą, ten biegłością ręki.
Ten jasnym, czystym tonem, którego się słucha
Z rozkoszą, co nie drapie ni serca ni ucha.
Ale to wszystko nie to!
— Cóż to przecie było?
— To mi młodość oddało, myśli uskrzydliło,
Poczułem zapał w sercu, w oku łzy zadrżały.
— Doprawdy?
— Z tym poetą, który biegł do chwały,
Biegłem razem, jak dziecko, z ufnością i wiarą,
I wstrząsłem się w tej chwili, gdy się zszedł z tą marą,
I szarpał się, i jęczał pod cierniowym wieńcem.
Słyszałem płacz dziewicy w rozstaniu z młodzieńcem,
Gdy koń go już unosił, a piersi i lica
Lśniący kirys okrywał i twarda przyłbica.

Przed okiem mu otwarły się nieznane strony,
Coś niby niegościnne wygnania zagony.
Tam oparty na kiju niosłem życia brzemię.
I idąc za modlitwą biednego pielgrzyma
Żegnałem, jak on żegnał własny dom i ziemię,
Słowami, jakich pewnie w żadnej mowie niema.
Bo dziwna tego smyczka potęga i skutek!
Jeszczem miał łzy na oczach i na czole smutek,
Gdy jego rzut, jak zamach czarodziejskiej laski,
Przeniósł mnie między bory, na Mazowsza piaski.
I wśród hucznej gromady przy karczmie postawił,
By mnie sercem ucieszył i okiem zabawił.
Tam widziałem Mazura, co sobie ochoty
Dodawał, gdy go gniotły nędza i tęsknoty,
I z ruchem, który iskry wydobył z podkowy,
Wyrzucał boleść z serca i frasunek z głowy.
Przyznam się, to musiała być chwila szczęśliwa!
— Czy grał na pięciu strunach?
— O! panie łaskawy.
Na wszystkich strunach serca pieśń życia odgrywa.
Jego ton, tak jak balsam przylega do rany;
On cię wzniesie wysoko i do głębi wzruszy,
I jeżeli masz duszę, zagra na twej duszy.

SPIS RZECZY.

	Str.
Przedmowa	5
Do moich czytelników	9
Piątkowe wieczory pani Katarzyny Lewockiej .	15
Wieczory poniedziałkowe pani Niny Łuszczewskiej	30
Dzień 2-go marca	64
Wieczory niedzielne u wojewodziny Nakwaskiej	73
Czwartkowe wieczory u Kazimierzostwa Wójcickich, ...	86
Niedziele u państwa Maciejowskich	124
Państwo Korzeniowscy	137

W roku 1907, a XXV-m swego istnienia, tygodnik polityczno-społeczny i literacki

„KRAJ"

z dodatkiem p. t.

„Przegląd Literacki"

wychodzić będzie nadal w Petersburgu, pod redakcyą **Bohdana Kutyłowskiego**, przy współudziale najwybitniejszych sił publicystycznych i literackich, oraz korespondentów ze wszystkich ognisk życia polskiego w świecie. — Liczne artykuły bieżące, oraz listy z Warszawy, Krakowa, Poznania, Lwowa, z nad Niemna, z nad Dniepru i przeglądy prasy polskiej, odzwierciadlają dzieje współczesne naszego narodu, uzupełniane przez korespondencye z Ameryki północnej i południowej. „Kraj" zawiera oparte na bezpośredniej znajomości stosunków i ludzi, źródłowe i dokładne wiadomości z przebiegu wypadków pierwszorzędnej doniosłości dziejowej na **widowni polityczno-społecznej rosyjskiej**. Uwzględniając potrzeby **kolonii polskich w Cesarstwie**, „Kraj" podaje wieści szczegółowe o ich życiu, wzroście i rozwoju.

„Przegląd Literacki" zawierać będzie pogadanki na tematy bieżące, nowele, sylwetki literackie autorów współczesnych, wiadomości z dziedziny literatury, umiejętności i sztuki, oraz ilustracye.

Prenumerata wynosi: W Petersburgu kwartalnie rb. 1.75. W Królestwie i Cesarstwie kwartalnie rb. 2. Zagranicą kwartalnie rb. 3.

W tym samym stosunku rocznie i półrocznie.

Adres Redakcyi i Administracyi: **Petersburg, Jekateryński Kanał 82.**

Kantoru Warszawskiego: **Chmielna 43.**

Telefon 190-51.

Stanford University Libraries
3 6105 013 517 292

W2 v
V.1